OPŁATĘ POCZTOWĄ UISZCZONO RYCZAŁTEM

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, JAKÓBA STRZEMIĘ 8

1 sierpnia 1936 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
20 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka

HALINA GÓRSKA

RADOŚĆ ŻYCIA

Fragment powieści „Barak płonie"

Miała 20 lat, gdy go poznała i służyła wtedy u jednej maszyniściny na Polnej. Niebardzo to była dobra służba i byłaby pewnie z tą jędzą maszyniściną nie wytrzymała, gdyby nie — lokator. Taki się jej jakiś przystojny i pański w obejściu wydawał, że gdzie jej starym było do niego, gdzie! Prosty był i smukły, głowę nosił wysoko, a oczy miał szare o spojrzeniu zimnem i tak przenikliwem, że gdy się niemi popatrzył, to słowa ze siebie wydobyć nie mogła. Ale zato jak się czasem uśmiechnął, to mu ten uśmiech naraz rozświetlał i oczy i usta i całą twarz. I taki się zaraz robił miły i młody — prawie dziecko. I wtedy dopiero było widać, że ma dołek w brodzie, a oczy to nie są wcale szare, ale jasno-niebieskie... Nie włóczył się nigdzie jak inni, tylko zaraz po pracy przychodził do domu i siedział obłożony książkami, broszurami i pismami, jak jaki akademik. Czytał nie dostrzegając nawet, że pod lada pozorem wpadała do jego pokoju, że stawiając przed nim herbatę przytulała się niemal do niego. Żeby choć raz zaczepił ją, lub zażartował, jak chłopak z dziewczyną, to nigdy! Tekie już miał obejście. A kiedy wychodził w niedzielę na spacer w nowym, szarym garniturze i miękkim kapeluszu, to stała z twarzą przylepioną do szyby i patrzyła za nim, póki nie znikł na zakręcie, bo jej się widział, jak jeden z filmu, na którym była z koleżanką.

Aż raz wydarzyło się tak, że pani z panem pojechali na urlop do Zimnej Wody.

Więc teraz to już miała całe dnie wolne. Opanowała ją jakaś gorączka. Wszystkie godziny były tylko godzinami wyczekiwania na Andrzeja. Kiedy słyszała na schodach jego mocne, sprężyste kroki, to aż jej się zimno i gorąco robiło z radości i z jakiegoś dziwnego, paraliżującego wszystkie członki strachu.

Ale Andrzej przychodził obojętny i daleki jak zawsze, zatopiony w książkach, broszurach i obcych, nieznanych sprawach.

Więc próbowała zagadywać o te książki i sprawy właśnie. Pokornie, nieśmiało. Że niby, gdyby pan Andrzej chciał... bo niby... cóż ona? I zaraz okazało się, że owszem, że chce. Zrobił się jakiś zupełnie inny — ludzki taki, przystępny i miły. I nawet oczy pojaśniały mu nagle, a śliczny uśmiech rozchylił usta i uczynił młodszą, prawie chłopięcą, twarz. I poprosił nawet, żeby usiadła. Siadła więc i słuchała. A ta radość, to aż ją rozpiera i mało że z niej nie buchnie. Bo cóż? Siedzi tak sobie w poufałem z nim towarzystwie, a on uśmiecha się do niej, patrzy na nią, mówi do niej swoim niskim, pięknym głosem. Poprawiła więc sobie nieznacznie loczek nad czołem i myślała uważnie w jego oczy wpatrzona i głową potakująca, że dobrzeby było sobie takiej materji niebieskiej w groszki, jak Anusia z drugiej kamienicy, na sukienkę nabrać, bo kto wie, czy ją w niedzielę na spacer nie zaprosi?

I odtąd, jakby kto Andrzeja odmienił: sam ją wołał, sam z nią pierwszy rozmowę zaczynał. Rozmowę, nie rozmowę — to on mówił, a ona słuchała z radosnem uniesieniem, gotowa na przyjęcie tego, do czego tak delikatnie, tak po pańsku, tak zawile i uczenie prowadził.

Ale okazało się niebawem, że Andrzej nie prowadził do niczego. Nawet na spacer w niedzielę.

I chciał, żeby nietylko słuchała, ale i odpowiadała. A przytem niecierpliwił się czegoś i gniewał. Pionowa zmarszczka między brwiami zarysowała się znowu, uśmiech znikł bez śladu, a wraz z tym uśmiechem cała błogość i radosne podniecenie pierwszych dni.

Siedziała niby w szkole przed nauczycielem surowym i nieubłaganym. Starała się zapamiętać i zrozumieć, ale tok myśli rwał się jej co chwila.

Obce wyrazy — nadwartość... kapitalizm... produkcja... brzęczały niby natrętne muchy, których nie można było złowić. Z trudnością przełykała ślinę. Perlisty pot występował jej na czoło.

Nie, nie umiała na nic odpowiedzieć, a Andrzej najwidoczniej niecierpliwił się. Za chwilę rozgniewa się i wypędzi ją raz na zawsze. Nigdy już nie uśmiechnie się do niej. Niepotrzebnie uszyła na niedzielę tę niebieską sukienkę w groszki. I nagle — wybuchnęła płaczem.

A wtedy stała się rzecz niespodziewana: Andrzej patrzył na nią chwilę osłupiały, a potem, zwolna, rozdrażnienie, zniecierpliwienie i gniew zaczęły znikać z jego twarzy. Uśmiechnął się. Tak, jak dawniej. Ślicznie i promiennie, tylko z pewnem zawstydzeniem, wyciągnął z kieszeni chusteczkę, wytarł jej jak dziecku oczy.

— Niech się panna Kasia nie gniewa — powiedział.

— Co ja zrobię, kiedy ja taka durna! — łkała.

Ale on potrząsnął głową.

— Nie, to ja durny — powiedział.

I zaczął jakoś inaczej niż dotychczas.

Mówił o niej samej, o jej własnej, dobrze znanej doli.

O tych wszystkich kuchniach, w których sypiała na siennikach rozkładanych na skrzyni, lub na zamykanych na dzień polowych łóżeczkach, o przechodnich kuchniach, których spokoju nikt nie szanował. O wydzielanym cukrze i chlebie, o wiecznych posądzeniach o złodziejstwo, o praniu po nocach cudzych brudów, o wynoszeniu nocników, o bezczelnych zaczepkach paniczów i panów, o ciągłem, natarczywem kontrolowaniu jej życia. (Z kim chodzi? Gdzie była w niedzielę? Czy ma narzeczonego? Bo pani nie znosi narzeczonych, ani broń Boże nikogo w kuchni, ani włóczenia się z obcymi drabami po spacerach, bo z tego właśnie kradzieże biorą początek!).

Aż się zadziwiła, skąd Andrzej tak to wszystko wie i umie wyłożyć. Musiał widać dużo o niej myśleć, dużo sumować, że tak to sobie zmiarkował. I aż jej się rozpłakać chciało, że się ktoś tak nad jej dolą użala.

Ale gdy Andrzej od niej przeszedł do szwaczek i krawcowych, nakładaczek w drukarni i robotnic fabrycznych, zaczęło ją trochę korcić. Zwłaszcza, że z takiem samem wzruszeniem i z taką samą znajomością rzeczy rozprawiał.

— Patrzajcie się! — pomyślała — Taka się trusia widzi, a z iloma to dziewuchami musiał mieć komitywę!

— Inna krawcowa — wtrąciła niespodzianie, — to gorsza jest od służącej! A już co do takich, co w fabryce robią, to przecież wszyscy wiedzą, że z każdym majstrem śpią!

Ale pożałowała tego zaraz, bo Andrzej bardzo się rozgniewał. Tupnął nawet na nią nogą i krzyknął tak, że aż się skuliła.

I o solidarności robotniczej, o wspólności interesów, o koleżeństwie.

Już ja się znam na takich wspólnych interesach i pokażę ci koleżeństwo z lafiryndami — pomyślała mściwie i ze złością. Ale głośno nie śmiała pisnąć ani słowa.

Odetchnęła jednak wkrótce, bo Andrzej już przeszedł do mężczyzn. Słuchała z pewnem zaciekawieniem o doli — niedoli krawców, murarzy, stolarzy i różnych tam innych i już jej się zaczynało zdawać, że wreszcie miarkuje, do czego ten dziwny Andrzej, który do wszystkiego musiał tak okrężnie prowadzić, zmierza:

Na co ci niby dziewczyno w panieńskim stanie siedzieć? Czy dużo zaznałaś dobra, służąc? Albo może myślisz, że byłoby ci lepiej na świecie, jakbyś miała jakiś fach? Przypatrz się tylko, jak bidują krawcowe albo nakładaczki. Ale z drugiej strony nie myśl sobie także, że jakbyś wyszła za jakiego uczciwego rzemieślnika, to już będziesz miała spokojne życie! I oni się niezgorzej mordują. Co innego ja — majster giserski!

Aż jej się gorąco zrobiło od tych myśli. Bo przecie taki Andrzej mógł sobie innej dziewczyny niż ona poszukać. Czy to maszyniścina nie chciała go swatać swojej siostrzenicy? Więc wyjąkała, cała czerwona ze wzruszenia, że ona przecie sama rozumie, że co innego murarz, szewc, albo inny łachudra, a co innego — giser!...

Andrzej urwał nagle, popatrzył na nią chwilę z roztargnieniem, a potem ni z tego, ni owego, że na dziś będzie dość i że jak kiedy będzie miał czas, to jeszcze sobie z nią pogada i — nos w książkę.

I od tej pory znowu jakby jej nie widział, jakby się stał tak samo daleki i obcy jak za pierwszych dni. Daremnie wypłakiwała sobie po nocach oczy, nie mogąc zrozumieć, czemby go sobie zraziła, albo co mu zawiniła. Aż nagle w niedzielę (tę samą, na którą szykowała sobie niebieską sukienkę) odmieniło się niespodzianie wszystko, choć nic przecie nie zapowiadało tego. Jeszcze w sobotę Andrzej poprosił, żeby mu odprasowała koszulę, bo idzie do kolegi na imieniny. Wykrochmaliła mu ją i wyprasowała tak, że chyba w pralniby lepiej nie potrafili i odniosła do pokoju, żeby popatrzył czy dobrze, z tajną nadzieją w sercu, że przecie, że może... Ale Andrzej powiedział tylko swoim zwyczajem grzecznie i chłodno — Dziękuję pannie Kasi! Przepraszam za fatygę — i nie patrząc nawet, położył koszulę na łóżko. Postała więc jeszcze chwilę w drzwiach i odeszła. A nazajutrz, napróżno ciągnęła ją przyjaciółka na Wysoki Zamek. Powiedziała, że musi pilnować mieszkania i przepłakała cały ten dzień w pustej kuchni. Pod wieczór dopiero oprzytomniała, że to oczy ma czerwone jak u królika, nos spuchnięty, włosy skudłane, bluzkę brudną i porozpinaną jak u mamki, a Andrzeja tylko patrzeć. Umyła się więc, wyrurkowała, włożyła tę nową niebieską sukienkę, jedwabne pończochy i lakierki i — czekała. Wyciągnęła książkę, którą jej Andrzej pożyczył, usiadła na krześle z nogą na nogę założoną, (jak jedna doktorowa, u której przedtem służyła). Andrzej miał klucz, więc kiedy przyjdzie, tak ją właśnie a nie inaczej zastanie.

Litery skakały jej przed oczyma, serce biło mocno.

— Bardzo interesująca książka, panie Andrzeju! — powie — Bardzo...

I aż zmartwiała cała: ktoś szedł po schodach w górę.

Czy aby potrafi?

— Bardzo interesująca książka, panie Andrzeju! Bardzo...

Ale kroki urwały się, wsiąkły w ciszę. Andrzej nie przychodził. Próbowała czytać. Nie mogła. Była głodna. Wyjęła z rury kluski, których nie zjadła na obiad. Ale w tej chwili na schodach rozległo się znowu jakieś stąpanie. Szurnęła pośpiesznie garnek i łyżkę do rury i znowu siedziała sztywna, z nogą na nogę założoną i z książką w ręku, cała sprężona w oczekiwaniu. Kroki na schodach umilkły o piętro niżej.

Mijały godziny. Przestała czekać — o tej porze i tak już nie wejdzie. Mogła już znowu swobodnie płakać. Zzuła pantofle (piekły cholery!), rozwiesiła starannie na wieszaku sukienkę, odłożyła zawiniętą w gazetę książkę i usiadłszy w koszuli na łóżku, łykała razem zimne kluski i łzy.

I właśnie wtedy usłyszała naprzód jakieś zatrzymujące się pod ich drzwiami, ale dziwnie niepodobne do kroków Andrzeja, kroki, a potem niepewne szuranie, jakgdyby ktoś nie mógł trafić kluczem do zamku. Ścierpła cała. Złodzieje! — przemknęło jej przez głowę. Ale w tej samej chwili odezwał się dzwonek. Cicho, niepewnie.

Otworzyć czy nie otworzyć?! — pomyślała szczękając ze strachu zębami. Znowu szuranie i znowu dzwonek. Tym razem głośny i długi.

Złodzieje chybaby nie dzwonili? — pomyślała. — Chociaż, kto ich wie? W każdym razie (przypomniała sobie nauki pani) zapytam przez drzwi.

— Kto tam?

— To ja. Nie mogę otworzyć — usłyszała zewnątrz głos Andrzeja, ale jakiś dziwnie żałosny i bezradny.

Zdumiona i przerażona otworzyła pośpiesznie. Andrzej stał jednak w progu i nie wchodził. Przekręciła kontakt i zobaczyła, że był bez kapelusza i bardzo blady. Postąpił ku niej chwiejnie, uśmiechając się niepewnie i trochę błędnie. Zrozumiała i odpowiedziała

mu natychmiast porozumiewawczym uśmiechem: był przecie na zabawie, pierwszy raz odkąd go znała! Zamknęła drzwi i wzięła go pod ramię. Oparł się o nią ciężko, mrucząc coś o jakimś Antosiu, który jest wspaniałym chłopem, ale tej anyżówki, to już naprawdę było za wiele.

Musiało jej być rzeczywiście „za wiele", bo szło od niego jak od pokoju śniadankowego.

— Tak... tak... — przyświadczała mu jak dziecku prowadząc go do pokoju.

Nie odczuwała lęku, tylko bezgraniczną czułość i szczęście: był taki słaby, taki zdany na jej opiekę, taki ufny i posłuszny jak mały chłopczyk i taki jakiś — swój, jak inni, jak drudzy!

Posadziła go na krześle, zdjęła mu buty, a potem pomogła rozebrać się i położyć. Starannie, po macierzyńsku, okrywała go kołdrą. I wtedy to nagle przyciągnął ją do siebie.

Jego zwykle surowe i chłodne oczy patrzyły teraz inaczej, natarczywe, domagające się. Pochyliła się nad nim jeszcze niżej. Niecierpliwe i drżące ręce ślizgały się po jej ciele, rwały guziki od koszuli. Dygotała cała jak w febrze. Ze szczęścia czy ze strachu? Nie wiedziała.

— Zimno ci? — Zapytał chrapliwie i szarpnął ją mocniej do siebie.

Osłabła, niezdolna do żadnego ruchu oporu, jakgdyby drżące kolana uginały się pod nią i rozwierały same, a cały świat uciekał spod nóg, opadła na łóżko.

Kiedy nazajutrz rano obudziła się, nie czuła w sobie nic oprócz radości. Radość napełniała ją, radość przelewała się przez brzegi. I nawet ten niepokój, jakże to teraz będzie między nimi (bo teraz przecie wszystko musiało już być inaczej), nie mógł jej przytłumić.

— Będę już do niego chyba mówiła „Jędruś" czy jak? — myślała idąc przez korytarz z herbatą. — Będę mu już chyba mówiła — Jędruś!

Ale nie powiedziała. Bo Andrzej stał już zupełnie ubrany i gotów do wyjścia i choć miał jeszcze z pół godziny czasu, rzucił tylko krótko:

— Muszę już iść. Nie będę jadł. Dziękuję pannie Kasi.

Nie patrzył na nią. Obcy, chłodny, daleki. Jakby nic nie zaszło, jakby się nic nie zmieniło między nimi.

Postawiła więc na stole tę niepotrzebną szklankę herbaty i patrzyła na niego zdrętwiała z przerażenia.

Czyżby wogóle nie wiedział, nie pamiętał?!

Ale w tej chwili zauważyła jego uciekające przed jej oczyma spojrzenie i nagle — już wiedziała. Ona, która dotychczas tak czepiała się każdego pozoru, każdego słowa, każdej nadziei. Odrazu, już na zawsze — wiedziała. Odwróciła się i powlokła się do kuchni, z trudem powłócząc nogami, jakby już nie było w niej żadnej siły, jakby uciekła z niej wszystka krew.

Nie płakała, ani nie nachodziła Andrzeja. Żyła w jakiemś zaczadzeniu, czy odrętwieniu. Zrobiła co najkonieczniejsze w mieszkaniu i kładła się na łóżku w ubraniu, nieczesana i niemyta. Ale pewnej nocy (nie sypiała teraz wcale), nie wiedzieć dlaczego, coś się w niej targnęło i zbudziło.

Usiadła na łóżku, jakby pod wpływem jakiejś niepojętej myśli, która wszakże nie była wcale — myślą.

Wszystkie mięśnie kurczyły się w niej i napinały w nieznośnym, ciągnącym się bólu.

Nie wiedziała wcale, kiedy wstała, kiedy minęła ciemny korytarzyk, roztworzyła drzwi i pochyliła się nad łóżkiem Andrzeja.

Dnie stały się teraz czemś niepotrzebnem. Czemś co się nie liczyło. Nie rurkowała już włosów, nie wkładała czystych fartuszków, nie próbowała wszczynać rozmów i nie sprzątała gorączkowo w kuchni z myślą, że przecież „on" może wejść.

Włóczyła się senna, rozkudłana i napół ubrana, obojętnie przyjmująca wymyślania pani.

Czekała na noc.

A wówczas nagle odwracało się wszystko. Jakby z nastaniem ciemności rodził się inny Andrzej.

I tak już pozostało między nimi.

Nawet wtedy, kiedy „zaszła" i Andrzej, ten dziwny, niezrozumiały Andrzej, po którym nigdy nie było wiadomo czego się spodziewać, nie pozwolił jej „stracić" i ożenił się z nią.

Z początku chodziła jak w czadzie szczęścia: było jednopokojowe mieszkanie z alkową i kuchnią, były meble prawie takie jak u maszynistki, froterowana podłoga i dywaniki nad łóżkami, a przedewszystkiem, nigdy jeszcze niezakosztowane szczęście tryumfu. Tryumfu nad „starą", której nie udało się wyswatać Andrzeja swojej siostrzenicy i która teraz wściekała się bezsilnie (ta zdurniał chłopak, czy co — z taką klempą!). Nad koleżankami, które aż siniały z zazdrości, nad jędzą dozorczynią, która zatruwała jej życie.

A przytem ta możność wyjścia z torbą „na plac" dla siebie (— Niech mi pani tylko da dobry kawałek, bo mój jest strasznie grymaśny...) i powiedzenia o posługaczce, którą Andrzej kazał zgodzić na czas ostatnich miesięcy — „moja dziewczyna"...

Więc w czadzie tego niespodziewanego szczęścia zniknął jakgdyby sam Andrzej. Ale kiedy czad rozproszył się i opadł, dostrzegła, że właściwie niewiele się między nimi zmieniło.

W swojem nowem, wspaniałem mieszkaniu najczęściej siadywała w kuchni, a Andrzej pozostał prawie tak obcy jak dawniej. Rano szedł do roboty, a wieczorem albo siedział zatopiony w książkach i broszurach, albo wychodził (nie śmiała go nawet pytać dokąd), albo przychodzili do niego goście, różni jacyś panowie i niepanowie, a nawet kobiety, kłócące się z nim o coś, bezwstydnie patrzące mu w oczy, rechocące głośno. Więc znowu doznawała tego samego ściśnięcia serca co dawniej i obserwując we dnie ukradkiem zamkniętą i zimną twarz Andrzeja, myślała ze żrącym niepokojem — czy on wogóle wie, czy pamięta?... A potem w nocy, szła jak dawniej do alkowy, „do Andrzeja". I tylko jeden raz w przeciągu tych pierwszych lat ich pożycia wydało się jej przez krótką chwilę, że coś się między nimi odmieni. Wezbrała w niej wtedy gorzka fala nienawiści przeciw obcym sprawom Andrzeja, które odrywały go od niej i prowadziły do złego (czy nie aresztowano go już raz przed pierwszym maja i nie trzymano przez trzy dni w kryminale, jak jakiego złodzieja?), przeciw tym papierzyskom, które znosił do domu, a zwłaszcza przeciw tym bewstydnicom „towarzyszkom", które mydliły mu oczy gadaniem, a naprawdę, to aż się trzęsły do cudzego chłopa.

I pewnego razu, w przystępie wściekłości, rozpaczy i strachu, spaliła jedną z tych paczek, które przynosiła mu ruda, kudłata dziewucha, o bezczelnie czerwonych ustach (Andrzej uśmiechał się do tej bezwstydnicy tak serdecznie, jak nigdy do niej).

Wyciągnęła więc te papierzyska spod materaca, gdzie chował je jak jakiś skarb i — szur pod kuchnię! I narazie nawet jakby jej ulżyło. Bo przecie nie była taka głupia. Wiedziała, że bez dowodu — nic. Ale jakby coś takiego znaleźli to szlus, już go z kryminału nie wypuszczą. Nie musiała już teraz trząść się, gdy tylko odezwały się kroki na schodach, nie truchlała za każdem poruszeniem drzwi. A przytem zdawało się jej, że zemściła się na kudłatej. Ale niedługo to trwało. Co będzie, kiedy Andrzej?...

Zaczęła codzień chodzić do kościoła. Modliła się długo i żarliwie, jak nigdy w życiu: żeby zapomniał o tej paczce pod materacem, żeby raz na zawsze zapomniał!

Ale pewnego razu — stało się.

I taka już była wtedy zmęczona oczekiwaniem, że doznała nawet uczucia ulgi.

Nie zapierała się.

No tak! Ona! Ona! Ona!

Nie pozwoli mu zgnić w więzieniu! Nie zmarnieją przez jego głupstwa i tę kudłatą kurwę, ona i dziecko! Spaliła i jeszcze raz spali!

Niech sobie zapamięta!

Rozkrzyczała się na całe mieszkanie aż do ochrypnięcia, jakby chciała tym krzykiem zagłuszyć śmiertelny strach, bo Andrzej szedł do niej blady, z rozszerzonemi oczyma, niepodobny do siebie.

Janek bawiący się w kuchni na podłodze spojrzał na niego i przestraszony wrzaskiem matki i twarzą ojca z płaczem uchwycił ją za spódnicę. Andrzej oderwał go od niej, wziął ją za ramię tak, że wydało jej się, że zmiażdży jej rękę, wepchnął do pokoju, zamknął drzwi i wolno, drżącemi rękami, zaczął odpinać pas.

I nagle zamarło w niej wszystko. Ale nie ze strachu. Nie bała się go, tak jak nie bała się go wówczas, gdy wrócił pijany. Wydał jej się w tym gniewie tylko dla niej przeznaczony, bliski jak wówczas. Kogoż będzie bił jak nie ją? Kudłatą?!

Wydało jej się, gdy tak szedł do niej z tym pasem, jakby się nagle zawaliła między nimi niewidzialna przegroda.

— Jędruś! — krzyknęła, zasłaniając się instynktownie ramieniem (pierwszy raz tak go wreszcie nazwała) — Jędruś!

Ale on upuścił pas, odwrócił się wolno, podszedł do okna, postał przy niem chwilę, oddychając ciężko, a potem machnął ręką i powiedział cicho:

— Cóż? Nie twoja wina.

I poszedł.

Patrzyła za nim osłupiała. Jakże nie jej wina? Przecie mu sama powiedziała? Przecie przyznała się do wszystkiego!

Zdawało się jej, że coś w niej załamuje i pęka, jakby ją przekreślił, czy usunął tem machnięciem ręki.

I odtąd było jeszcze gorzej, choć się niby nic nie zmieniło. I nie mogła nawet użalić się przed nikim.

. Przepija pieniądze? Goni za dziewkami? Bije cię? Et! Z sadła się biesisz!

I jej samej się coraz częściej zdawało, że mają rację.

Aż pewnego rana przyszedł cios: Andrzeja znowu aresztowali. I tym razem także nie trzymali go długo, ale jakoś w trzy dni potem zwolniono go z fabryki. Czasy były już wtedy ciężkie, robotę trudno było znaleźć. Zaczęły się lata niedostatku a potem biedy. Andrzej miotał się nerwowo to tu, to tam, w poszukiwaniu pracy, to znów zapadał w zupełną apatię. Coraz mniej czytał, coraz rzadziej wychodził wieczorami z domu, a i do niego rzadko kto zaglądał.

I dziwna rzecz. Zaledwie śmiała się do tego przyznać przed sobą, ale w tych właśnie czasach ożyła, otrząsnęła się z odrętwienia, wstąpił w nią nowy duch. Teraz wszystko spadło na jej barki, a Bóg świadkiem, że umiała sobie dać radę lepiej niż Andrzej, w tych czasach kryzysu, bonów, wydziałów i dobroczynnych komitetów. Andrzej umiał tylko chodzić od fabryki do fabryki, od warsztatu do warsztatu. Ale pomówić, jak należy z urzędnikiem lub opiekunem, wystarać się o parę groszy czy jakieś kartki.. Aż się uśmiechnąć musiała na samą myśl!

Bo przecie i ona miała swój honor. Od swoich nie wzięłaby nigdy grosza, a jak pożyczyła łyżkę soli, czy szczyptę herbaty, to spokoju nie miała póki nie oddała. Nie lubiła też, żeby się nad nią użalali, albo żeby sąsiadki wtykały Jankowi bułki: dzięki Bogu jej dziecko nie żebrak i ma co jeść w domu!

Ale — „oni"?! Dlaczego Andrzej mimo, że patrzył na „nich" zawsze jakby z drugiej strony tych barykad, o których opowiadał, nie rozumiał, że „oni" to przecie zupełnie co innego?!

Mówił niby, że krzywda, że wyzysk, że zapłata za pracę za mała, a nie rozumiał, że cała rzecz w tem, żeby nietylko zapłata i żeby nawet wcale nie za pracę! W tem był przecież cała sztuka walki! Nie tej bezsensownej, którą prowadził Andrzej (służyła od czternastego roku życia i wiedziała, że z nimi upominaniem się o swoje prawa niedaleko zajedzie). Mądrze trzeba z nimi, powolutku, układnie. A wtedy — raz stara jedwabna bluzka, taka, że tylko na śmietnik lub inny bezużyteczny łach, ale innym razem — jeszcze zupełnie dobre meszty, palto, materjał na sukienkę... Trzeba tylko umieć wszystko przyjąć z jednakową radością i wdzięcznością. W tem cała rzecz.

Ale Andrzejowi obce były i niezrozumiałe jej tryumfy, obmierzły ich plon.

Bolało ją to, onieśmielało, przerażało i — zachwycało zarazem. Może nawet nie pragnęła, żeby był inny. Potrafiła sama zaradzić wszystkiemu. Ocknęła się w niej jakaś niezwykła siła, energja, wynalazczość i nieomylny, pozwalający omijać wszystkie przeszkody, instynkt. Nie zaznał głodu ani zimna. Pazurami darła dla niego co mogła, teraz kiedy opuścili go ci wszyscy, którzy przywiedli go do złego i ta kudłata bezwstydnica!

Wiedziała, że ochroni go i nakarmi, choćby to bezrobocie trwać miało całe lata! Z nią — nie zginie! Nareszcie czuła się potrzebną. Nareszcie czuła się — żoną.

Energicznie wyżęła resztę bielizny i popatrzyła znowu na śpiącego.

Pionowa zmarszczka między brwiami, zaciśnięte boleśnie i wzgardliwie usta — wszystko to przestało ją onieśmielać i niepokoić. Uśmiechnęła się. Z macierzyńską czułością, pierwszy raz bez obawy, prawie pobłażliwie:

Cóż z tego, że on nie rozumiał tego, ten niedorzeczny, głupiutki i niezaradny jak dziecko, Andrzej...

Halina Górska

ANDRZEJ RUDAWSKI

WYZNANIE

Już pióra strzępiaste świerków po niebie gwiazdami piszą
i spacer wiatru ustaje w sypkich blaszanych leszczynach,
tężeje cisza wieczorna — igliwem pachnąca cisza,
księżyc po szczeblach gałęzi mozolnie w niebo się wspina.

Lecz górą jeszcze szeleści w wierzchołkach srebrzyście — szarych
i wolno schodzą na popas Niedźwiedzic Wielkich gromady...

— — — — — — — — —

Do kory spękanej dębów usta miłośnie przykładam,
by szept swój złożyć żarliwy — wyznanie leśnej wiary.

ZMIANA ADRESU

Na okres wakacyjny adres redakcji i administracji „SYGNAŁÓW"

LWÓW

JAKÓBA STRZEMIĘ 8

AURA WYLEŻYŃSKA

JEAN CASSOU

Dostałam zaproszenie od Zgrupowania Młodych 17-tej dzielnicy Paryża, na odczyt o „Massacres de Paris", po którym Jean Cassou sam będzie mówił o swojej książce. Pisarze z Frontu Ludowego szukają bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem-przyjacielem i krytykiem. On bowiem tworzy klimat, w którym łatwiej pracować, razem z nim buduje się gmach nowej myśli. Większość radośnie podkreśla tę łączność ze współczesnymi, choć n. p., stojący na drugim krańcu Paul Valery liczy na potomnych i nieśmiertelność. Jak utrzymuje, na razie tworzy tylko dla siebie. Wiemy, że pisze za pieniądze, nawet polskie.

Zebranie odbyło się w kawiarni. Na pierwszem piętrze zarezerwowano salę. Znajomi i nieznajomi rozmawiali, czekając na Cassou, który przyszedł z piękną kobietą. Zaczął się odczyt. Jakiś młody człowiek swobodnie, bez bałwochwalczego zachwytu, siedząc przy tym samym co autor stoliku, mówił o jego dziele. Streścił je dla tych, którzy nie czytali książki: poeta Teofil, po upadku Komuny, na zesłaniu, opowiada całe swe życie, szczególnie dokładnie sprawy związane z rokiem 1871. Prelegent podnosząc piękno stron mówiących o ludziach owej epoki, krytykuje Cassou, że bohaterem jego jest poeta i zarzuca nadmiar elementu miłosnego w dziele, mówiącem o tak ważnych przewrotach społecznych.

Jean Cassou od tego punktu zaczął odpowiedź:

— Tak, mój bohater bardzo kochał. Nawet kochał naraz kilka kobiet, zanim pokochał jedną. Głosił pochwałę miłości. Nic dziwnego. Kobieta godzi z życiem, każe wierzyć w jego wartość i naszą własną wartość. Zaś silne uczucie daje możność najgłębszego odkrycia siebie, uświadomienia siebie — wypowiedzenia siebie. A potem — wyzbycia się samego siebie. Rewolucja społeczna nie stoi nigdy w sprzeczności z potrzebami ludzkiego serca, w imię najszerszych i najpełniejszych jego praw walczy przeciw hipokryzji w miłości.

Cassou mówi dalej, że rewolucja jako moment rewizji starych form i zdobycia nowych przewartościowuje też dotychczasowy stosunek mężczyzny do kobiety. Jego bohaterzy są przykładem konieczności i możliwości tej zmiany. Liryzm ich przeżyć na tle ogólnej tragedji nabiera doniosłego znaczenia. Historja pięknego szczęścia zlewa się z buntem miasta. Cassou konkluduje: walka o prawo do miłości, jako jednej z najwyższych wartości człowieka, godną jest każdej wielkiej chwili.

Mówiąc to, składa i rozkłada pewne siebie, silne ręce.

Nie przyjrzałam mu się, gdy wchodził na salę. Potem tak siedział, że ponad inne głowy wywyższał się tylko czub jego czarnej głowy. Czasem na chwilę widniało wysokie czoło. Teraz pochylił się naprzód i zobaczyłam całą osobę. Nie ma lat 40-tu. Jest trochę otyły, otyłością południowca. Syn Meksykanina i Hiszpanki. Twarz spokojna, oczy za okularami. Ubrany elegancko. Człowiek z ciała. Określenie to napozór brzmi paradoksalnie, bo wszyscy jesteśmy w ten sam sposób zbudowani. Ale ta wspólna struktura cielesna uderza u niego, gdy u innych kości lub nerwy wytępują na plan pierwszy. Jest fizyczną, a zarazem duchową ramą tego człowieka. Ramą solidną, utrzymującą w równowadze wszystko, co się w niej mieści.

Dalej tłumaczył, dlaczego na bohatera swej powieści wybrał poetę: bo w samym stosunku poety do społeczeństwa tkwi pierwiastek rewolucyjny. Bunt przeciw niemu objawia się nawet w materjalnym problemie życia. Teofil pochodził z podupadłej rodziny mieszczańskiej; wuj, bogaty przemysłowiec, daje mu przytułek i pracę, nie szczędząc jednak upokorzeń. Konstatując swe położenie, ujawnia bierny jeszcze protest przeciw warunkom zewnętrznym, w których poecie jest za ciasno.

Koniec 19-go wieku obfitował w takie protesty. Rimbaud też mówił, że należy zmienić świat. Lecz gdy „czysta sztuka" nie mogła go zadowolić, nie znalazł innego wyjścia, jak porzucić ją i Europę. Inni *poetes maudits* w cyganerji szukali ucieczki od rzeczywistości.

Teofil zaczął od pisania wierszy — potem wiatr rewolucji rozrzucił je po przedmieściu. Spotkanie z ludźmi, gotującymi czynny protest przeciw ustalonemu porządkowi, skierowało go na drogę czynu.

Cassou bardzo gorąco przedstawiał dzieje swego bohatera, słuchaczom zdawało się, że broni własnej przemiany. Usankcjonował to przypuszczenie. Nie wypierał się rozdziału między sobą, autorem „Pochwały szaleństwa", a sobą, autorem „Rzezi w Paryżu". To był etap, który w naszych czasach walki musiał doprowadzić do obecnego stanowiska. Dawniej, to znaczy przed 10-ciu laty, zajmowały go tylko problemy uczuciowe i estetyczne, dziś, jak i innych, porwał go kłąb zdarzeń i przemian. Pisarze poczuli, iż siłą, która urzeczywistni marzenia poetów, jest siła rąk pracujących. Od nich bierzemy wiarę, dając im nadbudowę życia — sztukę. Artysta zbliżając się do surowego materjału otaczającego świata nie staje się niewolnikiem. Z tematów i zagadnień dnia może wybierać najbardziej mu odpowiadające, albo też dawne ukazać w nowem świetle. Jedno obowiązuje wszystkich szczerych twórców: prawda, której dzisiejszy czytelnik pragnie tak silnie, jak nic dawno jeszcze łaknął złudzenia.

Wyznanie to Cassou powtórzył publicznie, obejmując po Jean Guehenno redakcję miesięcznika „Europe".

Sądzę, że „Massacres de Paris" jest książką, która nie mogłaby powstać w innej chwili niż obecna. Takie spojrzenie na przeszłość może mieć tylko artysta, czujący jej znaczenie dla dzisiejszości. Historyczna i psychologiczna prawda tamtych czasów sprawia, iż niknie przedział lat i stoimy wobec faktów, oświetlających zarówno pierwszą w dziejach realizację ideału państwa proletarjackiego, jak też niepokój naszych dni. Zresztą książka posiada inne jeszcze, też prawie aktualne, momenty. Jeden z krytyków zarzucił autorowi słowa Niemca z 1871 roku, jakby wyjęte z ust dzisiejszych wygnańców. A przecież tak odzywał się — Heine.

Cassou dowodzi, że powieść jest doskonałą formą współdziałania świata myśli ze światem pracy. Przez swą łatwość posiada najdalszy zakres działania, jest najsilniejszą transpozycją artystyczną każdej epoki. Marks, aby zapoznać się ze społeczeństwem, z którem chciał walczyć — czytał Balzaka. Ale jeśli chodzi o powieść historyczną, wymaga ona przetrawienia w sobie czasów i ludzi, obok wiedzy zdobytej na podstawie dokumentów własnej wizji tła, obok ludzkich postaci — własnej indywidualności. Cassou widzi i czuje Wiedeń Schuberta, Eskurial Filipa II-go, czy buntowniczy Paryż. Toteż jego praca, słusznie odznaczona „Prix de la Renaissance", zajmuje naczelne miejsce w bogatej beletrystyce francuskiej, biorącej za temat rok 1871.

Naturalista Zola w „Debacle" podał fakty i szczegóły, historyk — artysta oddał klimat i ducha. Obok prawdy mamy piękno. Po Paryżu, przekazanym dzisiejszości w licznych rysunkach, chodzą ludzie noszący modne wówczas stroje. Ludzi tych widzimy w wielu światłach: w płomyku lampki naftowej, rozjaśniającej mansardę poety, w jasności tysiąca świec żyrandoli płonących w Tuilerjach, w trupiej zieloności gazu ulicznych latarń, w groźnym, czerwonym blasku pochodni, znaczących pośmiertną drogę Komendanta Paryża, Jarosława Dąbrowskiego. Ostatnie światło to mur ognia, oddzielający zwyciężonych komunardów od zwycięskich wersalczyków. Opóźnił on o godziny zajęcie całej stolicy i pozbawił ją na zawsze — kilku gmachów.

Jean Cassou uważa, że książka musi dziś być czynem, ale to nie znaczy jakoby literatura stała się jedynem polem jego działania. Pisze bardzo wiele do wielu pism, jednocześnie stoi na czele „Maison de la Culture", posiadającej na prowincji liczne oddziały, a ostatnio został powołany przez ministra oświaty na konserwatora zabytków historycznych. Jest też jednym z organizatorów francusko - polskiego komitetu, mającego na celu wzniesienie pomnika ku czci Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego. Jest to rzecz naturalna, gdyż wskrzesił on pamięć tych ludzi. W „Massacres de Paris" postać Dąbrowskiego przykuwa uwagę czytelnika. Tu i tam wśród kart, na wielkim planie walczącego miasta ukazuje się „lew komuny", wołyński Napoleon. Autor doskonale uchwycił fizyczne podobieństwo tego człowieka, znane z fotografji, typ zewnętrzny tak odmienny od Francuzów. Drobna, zmięta twarz, konopiasta bródka, takież wąsy i jasnoniebieskie oczy. Najpierw widzimy naczelnego wodza wszystkich sił zbrojnych w głównej kwaterze, rozmawiającego z Ludwiką Michel. Dręczy go już obawa, że jako cudzoziemiec może być uważany za szpiega. „Wówczas wysadzę się w powietrze". Rzeczywiście, gdy wersalczycy weszli do miasta, dają się słyszeć głosy podejrzenia. Nawet ktoś uderzył go w pierś. Wezwany do ratusza broni się słowem, a ponieważ nie zdołał przekonać o swej niewinności, obiecuje obronić się czynem. W mundurze komendanta, ale bez kepi i miecza przedarł się w stronę Montmartre. Zajął stanowisko na barykadzie. Zgięty we dwoje za tarczą nocy, strzela. Nagle wybuch, przez chwilę nic nie widać, a potem ukazuje się trup, rzucony na wznak, głowa zwisła, ręce opadły. Najbliżsi koledzy boju ułożyli go na nosze. Przez długi bulwar Sewastopol prowadzili ciało do ratusza, wołając: „Generał Dąbrowski zabity! Miejsce dla bohatera! Zginął w obronie miasta!"

W ratuszu nie było czasu na rehabilitację. Ktoś podniósł zasłonę. Ukazała się jasna twarz. Na czole klasycznie zastygła kropla krwi. Jakiś oficer podszedł i narysował zmarłego. „Dalej! W drogę, na cmentarz Pere Lachaise". Stosunkowo tak niedawna śmierć Dąbrowskiego, a raczej losy jego zwłok osnute są legendą. Spotkać je miała profanacja ze strony wersalczyków. Jedno wiadomo — wśród zarejestrowanych, bardzo licznych grobów polskich w Paryżu, niema grobu Dąbrowskiego. Zaraz po upadku Komuny grupa rodaków, z ks. Czartoryskim na czele, w manifeście wystosowanym do rządu francuskiego, wyrzekła się Dąbrowskiego, jako Polaka, nazywając go „podejrzaną i nieznaną osobistością". Zaprzeczyły temu pamiętniki współczesnych, a dziś Jean Cassou podniósł Komendanta Paryża do rzędu tych postaci, które w czasie Wielkiej Emigracji walczyły „za naszą i waszą wolność".

RAFAŁ LEN

W ŻÓŁTYCH OCZACH

Przy nader różnych okazjach dosiada się i ujeżdża „szarego człowieka". Często i gęsto posługuje się nim w przeróżnych wywiadach, reportażach, „objektywnych" sprawozdaniach, gdzie w miarę potrzeby wypycha go się naprzód, samemu skromnie uciekając w cień, to znów pokręciwszy przed oczyma, nagle wycofuje do tyłu, wyjeżdżając na scenę już osobiście ze swoją idejką, która tym sposobem nabiera tem mocniejszych, a przedewszystkiem „prawdziwszych" kolorów.

Najwulgarniejszy chwyt, stosowany już dziś tylko po jakichś kurjerkowych ankietach czy reportażach, polega na utożsamieniu pierwszego lepszego „szarego człowieka" z jak najszerszym ogółem, na robieniu z niego „vox populi", bez żadnych komentarzy. Wyższy nieco stopień, to łaskawe bliższe skwalifikowanie, że to taki a taki, z takiej, czy innej parafji, poglądu czy ideologji.

Ale wyższe, subtelniejsze pociągnięcie sięga jeszcze dalej i objawia się już w zaznaczeniu pewnego dystansu, różnicy i „odmienności" własnego poglądu czy stanowiska. W sceptycznych uwagach i subtelnych „zwichnięciach" przeprowadza się delikatnie niby antytezę dla tem lepszego i wyraźniejszego podkreślenia i uplastycznienia — głównej tezy.

W ten sposób rozprawił się z Łodzią p. Ksawery Pruszyński, natknąwszy się na nią w swoich podróżach po Polsce („Wiadom. Liter." 637).

Idejką p. Pruszyńskiego jest wynalezienie w Łodzi — ściślej w łonie łódzkiego proletarjatu t. zw. „żółtych ludzi", którzy jednocześnie łączą w sobie jedyną i właściwą rewolucyjność i nacjonalizm spod endeckiego znaku. Nie mogąc oczywiście siłą własnej obserwacji i własnemi siłami dojść do tego rodzaju wniosków, radzi sobie p. Pruszyński w ten sposób, że dobiera sobie do rozmowy i do oprowadzenia po Łodzi jakąś „szarą eminencję" bojówkowego ruchu endeckiego, którego tanie politykierstwo ma właśnie ową koncepcję „żółtej rewolucyjności" uzasadnić.

Spreparowanie jednak odpowiedniego nastroju i przygotowanie ostatecznych wniosków, to bezsprzecznie zasługi samego reportera. Tak więc zaraz na wstępie po tajemniczem, konspiracyjnem spotkaniu (jakby to już inaczej nie można się było w Łodzi z endekami spotykać), po zręcznem wtrąceniu rewolucyjnych terminów „podpunkt", „aktyw", „robota" i t. p., stwierdza p. Pruszyński radośnie, że nietylko po raz pierwszy słyszał używającego tych słów endeka, ale że słyszał je następnie „wielokrotnie właśnie z ust endeckich i że do tych ludzi, których spotkał w Łodzi, słowa te pasowały".

W oczywistej i widocznej inspiracji fałszywie ujęta sprawa zapożyczonej czy kradzionej terminologji rewolucyjnej odgrywa swoją niepoślednią rolę. Otóż niema wątpliwości i wykazał to n. p. także proces łódzkich bombiarzy, że terminy te, jak i inne podobne („piątki bojowe", „komendant" i t. p.) rzeczywiście kursują w endeckim obiegu. Więcej nawet, wpaja się w swoich młodych uczniów pewne analogie i pojęcia, które wcale, posługując się językiem p. Pruszyńskiego, „nie pasują" do wyznawców Dmowskiego. Tak więc rodzina jakiegoś bombiarza, zwracając się do pewnego adwokata o obronę, z całą powagą powoływała się na to, że przecież dziad czy pradziad brał udział w powstaniu styczniowem, ojciec należał do „piątki" w 1905 roku, kontynuuje zaś chlubne tradycje syn, należąc dzisiaj do petardowej, endeckiej „piątki". Czyż więc przejęcie pewnych terminów i pojęć przemawiałoby za zrewolucjonizowaniem łódzkiej endecji? Tak samo chyba, jak zrabowanie przez hitlerowców 1-go maja dowodziłoby o socjaliźmie hitleryzmu, albo jak n. p. śpiewanie Horst-Wessel-Lied, o melodji ściągniętej z robotniczej pieśni, mówiłoby o pokrewieństwie S. A. i Rotfrontu.

Zapożyczanie się i wykradanie przez łódzkich endeków obcej i wrogiej frazeologji jest objawem tylko jednego: mianowicie podstępnego, nieprzebierającego w środkach żłobienia sobie drogi celem dojścia do proletarjatu łódzkiego. Poto się właśnie (z operetkowym zresztą rozmachem) przybiera w obce, wrogie, znienawidzone terminy, aby tem gładziej wśliznąć się w zaufanie robotników, tem perfidnej zatruć ich, zdeprawować, zaagitować.

Inna jest sprawa, o ile się to w Łodzi endekom udaje? Jak się ustosunkowuje do endecji łódzka klasa robotnicza?

Faktem bezspornym, wspomnianym i stwierdzonym również przez p. Pruszyńskiego, to pochód pierwszomajowy i porównanie go z trzeciomajowym. Wymowie faktów nie może już zaprzeczyć określenie go jako żydowskiego (chociaż Żydów szło w pochodzie nie więcej, jak 25%, przy 40% ogółu mieszkańców), czy sowieckiego, co tak się dziś w Polsce stało modne, a czego bynajmniej w swych uwagach p. Pruszyński nie prostuje.

Proletarjat łódzki i łódzcy bezrobotni, idący razem w tym pochodzie, to pochód dość nietylko wznoszącej się w krwawym blasku znanych wydarzeń fali robotniczej,

ale jeśli idzie o Łódź, również demonstracja odporności i przezwyciężenia endeckich wpływów.

Tak, przezwyciężenia wpływów endeckich z wyborów samorządowych w maju 1934 r. Czyż jednak ówczesne głosowanie endeckie uzasadnia w czemkolwiek żółte koncepcje p. Pruszyńskiego? Czyż może być materjałem dla tak daleko zajeżdżających teoryj „żółtej rewolucyjności?"

Oparcie się zręcznym i perfidnym, bo operującym pewnym, faktycznym materjałem, sugestjom p. Pruszyńskiego, ułatwi stanowcze stwierdzenie, że w przybliżeniu element w Łodzi, który p. Pruszyński określa jako żółty, rzeczywiście w latach kryzysu powiększył się i nabrał pewnego znaczenia. Strukturalny kryzys kapitalizmu powoduje w Łodzi obok typowej koncentracji wielkiego kapitału (łączenie i przechodzenie wielkich i średnich fabryk łódzkich w ręce zagranicznych spółek i potentatów największej finansjery), również rozkład i rozdrobnienie szczególnie przemysłu średniego i drobnego. Zjawisko to, jeśli idzie o klasę robotniczą, objawia się w przechodzeniu proletarjatu z środowisk wielkich fabryk do mniejszych i zupełnie małych zakładów, warsztatów, wynajmowanych w niewielkich liczbach, w przechodzeniu na służbę „anonimowego przemysłu", słowem w opuszczaniu się proletarjatu na niższe, „lumpowe" poziomy, odchodzenie często od fabryk do pracy rzemieślniczej czy zwykłego bezroboczego biedowania. Ten proces ekonomiczny, to odrywanie się od wielkich środowisk fabrycznych powoduje owo żółknięcie polityczne czy psychiczne pewnych warstw robotniczych, łatwiej poddających się rozkładowej endeckiej agitacji, podatniejszych na hasła reakcyjne i antysemickie. Ale dotąd tylko i tutaj też kończy się bezapelacyjnie „żółta racja" p. Pruszyńskiego i jego rozmówcy.

Skuteczną odtrutką na ową polityczną i psychiczną demoralizację i osłabienie — jest łączność i kontakt robotnika z wciąż decydującem jednak w Łodzi środowiskiem robotniczem największych fabryk. Tak samo jak trudno sobie wyobrazić abstrakcyjnego „kulisa żółtego" czy emigranta robotniczego we własnem mieście, na którego specyficzną izolację i ciemnotę zagraniczną wpływa tyle innych czynników, tak samo nie można sobie wyobrazić owej narzuconej przez p. Pruszyńskiego izolacji i odosobnienia młodzieży bezrobotnej i fantastycznej już zupełnie koncepcji dziedzicznych bezrobotnych.

Bezrobotny łódzki żyje nie na jakiejś wyspie, lecz w dzielnicy robotniczej, w rodzinie robotniczej — z bratem, synem, ojcem, matką, czy siostrą pracującą w wielkiej fabryce, coraz częściej należącą do związku klasowego, w ścisłej od niej — tej pracującej, od jej zarobków i warunków pracy, od tej fabryki, jej walki i strajku — zależności — i tego kontaktu ani zlekceważyć ani niedowidzieć nie sposób.

Oczywiście — możliwe są wahania, osłabienia, zatrucia dłuższe czy krótsze, ale brać je za stałe i na tego rodzaju podstawach budować zupełnie nowe koncepcje — można tylko przez krótkowzroczność polityczną lub dla politycznego fałszerstwa.

Zwycięstwo endeckie z wyborów w 1934 r. trafiło na takie właśnie osłabienie czy zatrucie, podtrzymane owem charakterystycznem żółknięciem i degradowaniem się łódzkiego proletarjatu. Nie było ono jednak czemś dotąd w historji wyborów w Łodzi niespotykanem i wyjątkowem. Nastroje szły dotąd właściwie zmiennemi i wrogiemi falami. W r. 1922, w wyborach do sejmu, — w 3 lata po zwycięstwie socjalistów (około 50 proc. głosów) — procent głosów oddanych na ówczesną Chrześcijańską Jedność Narodową (Chjenę) i Narodową Partję Robotniczą wzrósł do 85 proc., z czego sama Chjena zdobyła około 50 proc. W wyborach 1934 r. zwyciężyli endecy, ale socjaliści utrzymali swój stan posiadania, a bodaj nawet powiększyli o parę tysięcy głosów.

Wybory więc w 1934 r., nie były aż czemś takiem, co mogłoby się stać podstawą do snucia rewolucyjnych koncepcyj p. Pruszyńskiego, a były wynikiem obok owego „żółknięcia" — niestety, przyznać trzeba, nietrwałego jeszcze uświadomienia proletarjatu łódzkiego, niezlikwidowanych jeszcze w zupełności wpływów nacjonalistycznych, silnego niegdyś w Łodzi N. P. R.-u, a przedewszystkiem może bezwzględnej walki między socjalistami i komunistami.

Pod tym względem pochód 1-majowy był przełomowy i demonstrował wolę jedności i jednolitą siłę klasy robotniczej tak dobitnie, jak nigdzie dotąd w Polsce. Nieliczenie się z tą siłą albo raczej liczenie na to, że siła ta pozostanie bierna przy wzroście żółtej „endeckiej rewolucji", jest tak samo śmieszne i dziecinne, jak wynajdowanie energji rewolucyjnej nie gdzieindziej, jak tylko pod endeckiemi skrzydłami, pod narodowo - antysemickim programem.

Ilustracją zresztą najlepszą ustosunkowania się klasy robotniczej łódzkiej do endecji jest ustosunkowanie się do antysemityzmu. Wydawałoby się właściwie, że bezrobocie, wyzysk, rozgoryczenie powinny ułatwiać wściekłą antysemicką agitację endeków. A tymczasem jest odwrotnie. Antysemityzm, który stać się ma przecież fundamentalnem wezwaniem „żółtej rewolucji", nie może znaleźć sobie drogi do łódzkiego proletarjatu. Czepia się trochę młodzieży, trochę kobiet. Trochę ostatnio niemieckich robotników. I na tem się kończy.

Z wyjątkiem może pierwszego buntu bezrobotnych tkaczy łódzkich w r. 1861, którego geneza jest zresztą zupełnie niewyjaśniona oraz masowych wystąpień w 1892 roku, którym towarzyszyły pewne antysemickie ekscesy — wszystkie masowe wystąpienia łódzkiego proletarjatu bez nich się doskonale obchodzą. Tak było w r. 1905, tak poprzez wszystkie mniejsze i większe strajki i walki łódzkie, aż do ostatnich powszechnych strajków włókniarzy w 1933, 1936 i wielu innych.

Jakby zwłaszcza ostatnio agitacja antysemicka nie szalała, nie miotała się, jakąby nie zionęła, nie pluła wokoło nienawiścią i żądzą mordu — łódzki proletarjat zwycięsko opiera się tej nagonce i opierał się nawet w tych czasach, kiedy być może na tego endeka głosował i czytał pogromowego „Orędownika".

Trudny rzeczywiście jest „mob" w tych warunkach.

Odporność na agitację antysemicką to dowód zdrowego instynktu proletarjackiego, który z powagą, ale coraz widoczniej, odwraca się w Łodzi od endeckich zaułków i manowców, przechodząc na właściwą drogę walki z ustrojem.

Na 1 maja zamieścili endecy w swoim „Orędowniku" pod olbrzymim tytułem: „Kto rządzi Rosją?" (w czasie teraźn.) szereg karykaturalnych podobizn z wymienieniem żydowskich nazwisk: Trockiego-Bronsztejna, Kamieniewa - Rozenfelda, Zinowiewa-Apfelbauma, Róży Luksemburg i t. d., i t. d. W odpowiedzi na tego rodzaju żółto - rewolucyjną agitację niesiono w 1-majowym pochodzie gorąco oklaskiwany transparent, wyrażający osła, czytającego „Orędownika".

Przed 1-ym majem pojawiły się na murach i płotach łódzkich napisy: „1 maj to rewja sił żydowskich". Kiedyś — endeckie hasła tygodniami ozdabiały Łódź, obecnie liczne ręce z pasją w ciągu kilku dni wszędzie niemal starły to ostatnie słowo.

P. Pruszyński nie zauważył w Łodzi tych sił, które nie mogą dopuścić do zatknięcia na wieży owego niezmanego „żółtego" znaku. Potrafił zato perfidnie skrzywdzić imię robotniczej Łodzi, insynuując powstawanie w Łodzi jakiegoś specyficznego, rodzimego hitleryzmu czy też O. N. R.-yzmu. Fakt, że kłamstwa i tego rodzaju propagandę zamieszczają „Wiadomości Literackie", obejdzie się bez komentarzy.

Rafał Len

LÉO MOULIN

BELGIJSKA PARTJA ROBOTNICZA

Artykuł ten, którego autorem jest jeden z przywódców młodej lewicy socjalistycznej, ukazał się w piśmie „Rouge et noire", niemal w przeddzień pierwszej od wielu lat porażki wyborczej belgijskiej partji socjalistycznej, która straciła dziewięć mandatów na rzecz rexistów i komunistów. I dlatego właśnie jest niezmiernie ciekawy i pouczający.

Analogje są tu oczywiście trudne do przeprowadzenia i byłyby nieco naciągnięte.

P. O. B. (Parti Ouvrier Belge) jest nietylko trudną do zwalczenia potęgą opartą o stare, wspaniale rozbudowane, handlowe i produkcyjne spółdzielnie, bank robotniczy i sieć syndykatów, ale prowadzi mądrą politykę przyciągania, wciągania i zużytkowania w służbie partji wszystkich sił zarówno prawicy jak i lewicy socjalistycznej. (Dość powiedzieć, że minister Spaak, wysunięty na to stanowisko przez władze partyjne, był redaktorem „Action Socialiste", organu lewicowej frakcji opozycyjnej i że taka frakcja była w łonie partji dopuszczana i tolerowana). Toteż, choć P. O. B. odznacza się (podobnie zresztą jak P. P. S.) dużą obojętnością dla spraw teoretycznych, różni się od niej tem, że nie odtrąca, a co za tem idzie, nie marnuje dla ruchu jednostek wartościowych i zasłużonych, których jedynem przewinieniem jest odmienne zdanie w sprawach taktyki partyjnej. Niema tam również mowy o rozbijaniu lub wyrzekaniu się własnych, choćby o wiele radykalniej niż partja usposobionych, organizacyj młodzieżowych, stanowiących wszakże rezerwuar świeżych sił. Inne są również warunki polityczne i ekonomiczne, nastawienie społeczeństwa, siły ugrupowań. Istnieje jednak pewna analogja, narzucająca się niemal:

Stara partja robotnicza, która zatraciła zupełnie swoją rewolucyjność, zdolna jedynie do kombinacyj politycznych wewnątrz istniejącego ustroju, nie zaś do walki o nowy, raczej liberalno - demokratyczna niż socjalistyczna, ale żyjąca wspaniałą tradycją dawnych walk, tradycją, która daje jej nieograniczony kredyt w sercu proletarjatu.

Czy ten kredyt jest jednak rzeczywiście tak pewny i tak nieograniczony?

Nawet autorowi niniejszego artykułu, będącego druzgocącą krytyką partji, opozycjoniście, wydaje się mimo wszystko, że — tak.

Wierzy w to w przeddzień, może nie klęski jeszcze, ale poważnej porażki, w przeddzień wystąpienia po raz pierwszy na arenę życia politycznego Belgji, jako siły poważnej i z którą należy się liczyć — rexizmu.

* * *

W najbliższym numerze ukaże się oryginalny, specjalnie dla „Sygnałów" napisany artykuł Leo Moulin'a, omawiający aktualne zagadnienia belgijskie, szczególnie zaś sprawę ruchu rexistowskiego, belgijskiej odmiany faszyzmu. *Red.*

Partja robotnicza staje do wyborów. Jeszcze raz ukaże się w imponujących manifestacjach, w których zjednoczą się tłumy. Pierwszego maja przedefilują po całym kraju pod czerwonym sztandarem dziesiątki i setki tysięcy jej wiernych. Pięciu przedstawicieli partji jest przedstawicielami i zapewne zostaną nimi jeszcze jutro i pojutrze. B. P. R. jest siłą, którą wybory uczynią jeszcze silniejszą i przeciwko której trudno byłoby chcieć rządzić. A siła ta jest czemś więcej niż siłą tylko polityczną, ma ona swoje korzenie w sercu samego proletarjatu, który jest do niej przywiązany, mimo nieskończonych zarzutów, przeciw niej skierowywanych, mimo rozczarowań i zdrad, mimo tylu słabości.

* * *

Proletarjat i ci mali ludzi, których partja rzekomo przedstawia, są w swojej wdzięczności bardzo wytrwali. Może nawet zanadto. Ile razy partja przeżuwa swoją dawną chwałę, urządza coraz to nowe uroczystości jubileuszowe i pięćdziesięciolecia, przypomina swoje zasługi i czasy bohaterskie, tyle razy proletarjat wzrusza się na nowo. I maszeruje, gdy partja tego chce.

Wraz z planem, z domami ludowemi, ze swemi gazetami, spółdzielniami i swoim bankiem — ależ tak, właśnie bankiem — wraz z wszystkiemi swojemi wadami i niezrozumieniem, partja zostaje mimo wszystko nadzieją i obroną dziesiątek tysięcy pracowników. Kto odważy się zaprzeczyć, nie przecząc faktom?

* * *

Dziwny jest los tej partji robotniczej, ukradkiem socjalistycznej i poczciwej. Żyje bez pędu, bez doktryny, bez jedności, a raczej udaje życie. Przez lata całe ciążyła i ważyła nad kolejnemi rządami burżuazyjnemi, grożąc strajkiem generalnym. Istnienie lewicy w partji było o tyle usprawiedliwione, o ile opierała się ona rzeczywiście na masach. Przyszedł luty roku 1935 i okazało się, że strajk jest niemożliwy. „Akcja socjalistyczna" na to umarła. Jej wódz i nadzieja tego, co było najlepszego w partji, w miesiąc później został ministrem.

Belgijska Partja Robotnicza przeżywała i to.

* * *

Bez pędu. Stara partja i partja starych wyciąga jednak rękę ku młodym. Naturalnie ku najstarszym z młodych i trochę już bezzębnym, ku tym, o których jest pewna, że nie będą razili wśród przodków pełnych chwały. Mimo to Młodzież Socjalistyczna jest w partji potęgą i jedyną żywą krwią. Która czasami w niej krąży. Niema ani jednego z dogmatów Młodzieży Socjalistycznej: antymilitaryzm, defetyzm leninistyczny, dyktatura proletarjatu, któremuby kierownictwo partji nie przeczyło, nie ignorowało, któregoby nie zwalczało. I znowu niema członka kierownictwa partji, niema taktyki ani posunięcia, któregoby Młodzież Socjalistyczna nie ganiła.

Niema jedności, a partja żyje.

* * *

Bez doktryny. Trochę odbarwionego marksizmu i świetne wspomnienia założycieli. Przeciwnie: instynktowna nieufność do „abstraktów", do „intelektu". W najlepszym wypadku miękka obojętność w każdej dyskusji teoretycznej. Jeśli ktoś przestrzega tej reguły (najistotniejszej) gry, to reszta jest obojętna, czy jesteś marksistą czy nie, reformistą czy rewolucjonistą, defetystą czy obrońcą ojczyzny. Możesz zaprzeczyć roli proletarjatu, wierzyć wartościom, strzaskać karabin, możesz być estetą albo faszystą, demokratą albo krytykiem sztuki, albo klerykałem; nie musisz być socjalistą: o ile tylko czytasz gazetę „Peuple", kupujesz chleb i produkty w spółdzielniach — zostawią cię w spokoju.

Bez doktryny. Wielka partja, która ma setki tysięcy członków, wiele drukarń i nieskończone możności, nie wydaje ani jednego przeglądu poświęconego zagadnieniom doktryny.

* * *

Reformizm i temporyzowanie, oto tradycja partji, która zbyt jest złączona ze sprawami aktualnego świata, aby mogła zerwać z nim bez wielkich szkód. Wbrew własnej woli jest to partja burżuazyjna, uczciwy spadkobierca idei liberalnych. Nie umiała odnowić — pierwszy warunek każdej rewolucji — ani swojej doktryny, ani metod, ani ludzi.

* * *

Kto spośród walczących, wiernych i niezainteresowanych członków partji odważa się spodziewać, że ową wielką przemianę umysłów, o którą chodzi, umiałaby właśnie przeprowadzić Belgijska Partja Robotnicza?

W oczach zaś tych, którzy nie są wierni, czyż partja jest czemś innem, jak wszystkie inne partje, z tym samym brakiem zaufania, albo nieco mniejszym niż partje reakcyjne, ulegająca tym samym błędom ludzkim i jak one przyjmująca dziecinne albo sfałszowane zasady gry parlamentarnej.

Nie mówmy już o tych, którzy spalani nadzieją duchowej rewolucji i wolą działania i zwyciężania, widzą w Belgijskiej Partji Robotniczej najzaciętsze kadry ustroju, który nie chce umrzeć.

* * *

Taki jest sąd jednego z walczących, ale bez więzów i bez ambicji, który wydaje o własnej partji w przeddzień bitwy, nie bardziej decydującej jak poprzednie. Partja jest to blok silny jeszcze dzięki sentymentom, ale niejednolity i polityczne nie mogący zwyciężyć mimo poświęcenia swoich członków, dowodów świetnej przeszłości i ciężkiego obowiązku, jaki spada dziś na wszystkich ludzi dobrej woli.

STANISŁAW SALZMAN

RUCH FILOZOFICZNY W Z. S. R. R.

Materjalizm djalektyczny pozostał po dziś dzień, mimo swego wiekowego blisko trwania, „ziemią nieznaną" dla większości wykształconego ogółu w Polsce i nietylko w niej. Gdy zrozumienie innych prądów filozoficznych staje się corazto powszechniejsze, gdy moda, zwana niesłusznie „duchem czasu", oraz mniej lub więcej rozbudzona wśród inteligencji „tęsknota metafizyczna" każe zachłystywać się z zachwytu nad bergsonizmem, fenomenologją, panidealizmem i t. p. — na temat filozofji Marksa nie mówi się w tychże kołach intelektualistów, albo też mówi się bzdury. W naszej niezbyt płodnej literaturze filozoficznej nie rozpatruje się wcale zagadnień marksizmu, a w podręcznikach historji filozofji zbywa się je komunałami opartemi na uprzedzeniach. W kąt poszły prace teoretyczne Krauza, Krzywickiego, Brzozowskiego, Daszyńskiej-Golińskiej...

Toteż nic dziwnego, że i nasza znajomość współczesnego piśmiennictwa filozoficznego w Z. S. R. R., rozwijającego się w ramach materjalizmu djalektycznego — jest zgoła żadna. Naogół neguje się poprostu istnienie jakiejś naprawdę twórczej działalności filozoficznej w Sowietach i twierdzi się, że „bolszewizm, który zlikwidował Rosję jako państwo kulturalne i zburzył do gruntu jej gospodarstwo narodowe, unicestwił tem samem i warunki wyższego życia duchowego"; że „praca filozoficzna zakazana jest w Rosji przez osobne dekrety", naskutek czego „od roku 1923 nie wyszło żadne dzieło filozoficzne w obrębie granic Rosji".

Pierwszą pracą polską, która stara się jak najbardziej objektywnie zreferować współczesny ruch filozoficzny w Sowietach, dać nań pewien naukowy pogląd i obalić uprzedzenia, jest rozprawa dra Stefana Rudniańskiego p. t.: „Ruch filozoficzny w Z. S. R. R.". W szczupłych ramach artykułu drukowanego najpierw w „Przeglądzie filozoficznym" nie może autor wdawać się w szczegółową analizę dzieł filozoficznych, jakie ukazują się w Sowietach. Musi poprzestać jedynie na pewnym rzucie syntetycznym, w którym charakteryzuje jedynie naprawdę istotne i typowe kierunki w sowieckiem piśmiennictwie filozoficznem. Podkreśla więc przedewszystkiem najdonioślejsze zagadnienie filozofji marksowskiej, zagadnienie związku teorji z praktyką. Marks był nietylko myślicielem, ale i działaczem. W jego pojmowaniu teorja tłumaczy świat wyłącznie poto, aby go zmienić „w sensie rewolucyjnego przekształcenia warunków bytu ludzkiego". Tego nie chcą zrozumieć niektórzy myśliciele mieszczańscy, dopatrujący się w owym nierozerwalnym związku teorji marksistowskiej z praktyką — pewnego rodzaju inwazji polityki czy partyjności w dziedzinę filozofji.

Na marginesie pracy Rudniańskiego niech nam wolno będzie stwierdzić:

Istotę praktyczną marksizmu pojął najlepiej z pośród badaczy polskich Stanisław Brzozowski. „Materjalizm historyczny — pisał on — musi pozostać tem czem jest: filozofją czynu"... W tem widział Brzozowski „najdumniejszą myśl, jaka kiedykolwiekbądź istniała: ludzkość jako własne swe świadome dzieło". Twierdził też Brzozowski, że można mieć najrozmaitsze zdania o materjaliźmie ekonomicznym, lecz niepodobna zaprzeczać jego znaczeniu, albowiem „każdy, kto nie chce filozofji odrywać od życia, musi wypowiedzieć się w kwestji materjalistycznego pojmowania dziejów". *Czyż zresztą inaczej mógł mówić teoretyk, wychowany na polskiej filozofji romantycznej, na jej najwspanialszem i najoryginalniejszem dziele, jakiem było „Ojcze nasz" Cieszkowskiego, tak żarliwego szermierza „filozofji Czynu"? Cieszkowski był jednak djalektykiem idealistycznym, był jedynie genjalnym kontynuatorem Hegla i dlatego też jego koncepcja Czynu pozbawiona podbudowy materjalnej miała charakter w pewnym sensie scholastyczny.*

Jest faktem — dr. Rudniański podkreśla to w swej pracy niejednokrotnie — że oderwanie djalektyki od materjalizmu przekształca ją z konieczności w scholastykę, podobnie jak oderwanie materjalizmu od djalektyki czyli spychanie go do stanowiska mechanistycznego, odbiera mu jego charakter rewolucyjny.

W pierwszym okresie „nepu" panowała w sowieckim ruchu filozoficznym skłonność do oderwania materjalizmu od djalektyki. W tym to okresie, kiedy pozytywistyczne hasło „bogaćcie się!", odpowiadające ideałom ówczesnych nepmanów zdobywało sobie coraz więcej uznania, dawała się zauważyć nieufność do wszelkiego filozofowania, a przesadny kult dla nauk ścisłych. I jak w Polsce w okresie pozytywizmu oraz niedawno temu pod opiekuńczemi skrzydłami Brunona Winawera, tak i w Rosji rozpoczęła się w tej minionej już epoce kampanja antyfilozoficzna i antyideologiczna. Prowadzili ją głównie trzej myśliciele Minin, Adoratski i Razumowski, dla których „filozofja to twór burżuazji", to „eklektyczna mieszanina nauki i wiary, wiedzy i religji".

Ci trzej jednak, wyrzucając filozofję za burtę, nie chcieli się rozstać z samym poglądem na świat. Djalektyka marksowska była dla nich nienaruszalnem tabu. Dalej od nich poszedł E. Enczmen, który występując jako najczystszy monista i nie uznając ani ideologji, ani świadomości psychicznej i myślenia, pisał: „pewien filozoficzny pogląd na świat zwany materjalizmem djalektycznym obrócony zostanie w proch, gdyż dzięki treningowi biologicznemu zniknie konieczność logiczna, zamrze wiedza, myślenie i tylko reakcja fizjologiczna śmiechu przypominać będzie eksploatatorski (bo z eksploatatorskiej filozofji burżuazyjnej pochodzący — przyp. mój S. S.) materjalizm djalektyczny, który ogłupiał niewinne głowy radykalnych robotników".

Rzecz jasna, że wystąpienia „antyfilozofów" rozpętały dyskusję, w której marksiści wykazali Enczmenowi i innym, że nie można mieszać t. zw. ideologizmu z ideologją jako rzeczywiście istniejącą nadbudową i że proklamowanie rzekomo burżuazyjnego charakteru filozofji jest poprostu nonsensem, albowiem nie można mówić o filozofji jako takiej, o filozofji wiecznie takiej samej i niezmiennej, lecz jedynie o filozofji danej epoki historycznej.

W tym samym mniej więcej czasie grupa innych teoretyków sowieckich stara się subtelnie wykazać, że właściwie djalektyka materjalistyczna jest scholastyką, a prawdziwą nauką zastępującą doskonale wszelkie filozofowanie jest przyrodoznawstwo. Dziwi nas, że dr. Rudniański, przedstawiając i krytykując te poglądy, nie zwrócił uwagi na to, iż wynikają one po części z niezrozumienia engelsowskiego pojmowania filozofji. W „Anti-Dühringu" pisze on: „...filozofja stojąca ponad innemi naukami jest dla niego (t. j. materjalizmu djalektycznego) zbędna, skoro każda pojedyncza nauka stawia sobie za zadanie wyjaśnić swoje stanowisko w powszechnym związku rzeczy i pojęć o rzeczach, każda specjalna wiedza o tym związku staje się „zbyteczna". Możnaby z tego wnioskować, że Engels stał również na stanowisku „antyfilozoficznem". Tymczasem jednak autor „Anti-Dühringa" pisze w następnem już zdaniu, że w każdym razie filozofja pozostanie samodzielną jako logika formalna i djalektyka, przyczem pod djalektyką nie pojmuje wyłącznie metody, lecz również pogląd na świat z teorją poznania.

Odrębny kierunek w sowieckiej literaturze filozoficznej reprezentowała szkoła mechanistów, którą dr. Rudniański wywodzi od A. Bogdanowa. Zdaniem autora mechanistą jest poniekąd i Bucharin, który do teorji materjalizmu historycznego wprowadza koncepcję równowagi. Mechaniści pojmują w przeciwieństwie od Marksa i Engelsa materję w oderwaniu od ruchu, uważając za punkt wyjścia nie ruch, lecz równowagę. „Wszystkie formy ruchu sprowadzali oni do przesuwania w przestrzeni najdrobniejszych cząsteczek materji, uważanych przeważnie za jednorodne; „...nawet zjawiska społeczne traktowali mechaniści jako teoretycznie dostępne nietylko analizie jakościowej za pomocą socjologji, lecz również ilościowej o charakterze chemiczno - fizykalno-biologicznym". (Możnaby wysunąć tutaj pewne zastrzeżenia przeciwko tezie Rudniańskiego o mechanistycznym charakterze teorji Bucharina, bo przecież ten filozof sowiecki podkreśla z całym naciskiem, iż równowaga jego nie jest absolutna, lecz wprost przeciwnie, chwiejna i ruchoma. Z konieczności jednak musimy zrezygnować z przeprowadzenia w tym artykule dokładniejszej analizy teoryj Bucharina).

Wielką kampanję przeciwko mechanistom rozpoczęła t. zw. szkoła Dieborina, która stała na stanowisku, że jednostronnie ilościowy matematyczny punkt widzenia mechanistów prowadzi ostatecznie do idealizmu. Pojmowali ruch nietylko jako zmianę ilościową, ale i jakościową, stąd też nazywamy ich „jakościowcami". Szkoła Dieborina, uważająca się za przedstawicielkę ortodoksyjnego, autentycznego marksizmu, została jednak już wkrótce strącona z tego piedestału. Po ogłoszeniu w roku 1925 niewydanych dotąd pism filozoficznych Engelsa i Lenina okazało się nagle, że dawniejsze prace „dieborinowców" oraz ich ojca duchowego Plechanowa są już w pewnym sensie przestarzałe i zawierają cały szereg — „odchyleń". Ponieważ zaś w Rosji żywe jest bardzo poczucie łączności filozofji z praktyką, powiązano te odchylenia filozoficzne z odchyleniami politycznemi, zarzucając „dieborinowcom", iż są „mienszewizującymi idealistami", apologatami „trockistowskiego przeskakiwania przez niewyczerpane etapy i formy ruchu" i t. p. Ich to właśnie oskarżyli najnowsi „prawowierni" marksiści o oderwanie teorji od praktyki, o domieszkę kantyzmu i wprowadzenie pewnych elementów eklektycznych do teorji poznania. Zwłaszcza ten ostatni zarzut traktowali krytycy bardzo szeroko i poważnie.

Zdaniem naszem krytyka ta nie była słuszna, zwłaszcza, jeśli idzie o Plechanowa. Jeśli Plechanow stara się w pracach swoich wykazać pewne pokrewieństwa niektórych filozofów dawniejszych z Marksem, jeśli n. p. nazywa filozofję Marksa i Engelsa odmianą spinozizmu, czyni to poto, by wykazać właśnie zgodnie z metodą djalektyczną, historyczną ciągłość myśli filozoficznej. Nie wiemy doprawdy, na jakiej podstawie dzisiejsi sowieccy krytycy Plechanowa twierdzą, iż nie dostrzegał on zasadniczej różnicy „między materjalizmem djalektycznym, a poprzedzającym go materjalizmem w. XVII i XVIII". Twierdzenie tą obala najlepiej sam Plechanow, który w swoich „Podstawowych zagadnieniach marksizmu" pisze: „Tak więc humanizm Feuerbacha nie jest niczem innem, tylko spinozizmem wyzwolonym od teologicznego obciążenia... Lecz wyzwolić spinozizm od obciążenia teologicznego znaczyło to samo, co ujawnić jego prawdziwą materjalistyczną treść". A w swoich „Przyczynkach do historji materjalizmu", gdzie dał doskonałą charakterystykę trzech myślicieli materjalistycznych: Holbacha, Helvetiusa i Marksa, udowodnił chyba aż nadto dobrze, że dostrzegał wyraźne różnice między marksizmem a materjalizmem XVII i XVIII stulecia.

Współczesna literatura filozoficzna w Sowietach jest przeważnie polemiczna i z tego właśnie robią jej przeciwnicy ciężki zarzut. Rudniański stwierdza jednak słusznie w swej pracy, że polemiczność nie przekreśla wcale pozytywności i oryginalności badania, czego najlepszym przykładem polemiczne prace Marksa i Engelsa, posiadające przełomowe znaczenie dla filozofji, socjologji i ekonomiki. W ostatnich latach wydano w Sowietach szereg niezwykle ciekawych, jakkolwiek może grzeszących pewną nietolerancyjnością dzieł filozoficznych, m. i. w 22 tomie Wielkiej Encyklopedji Sowieckiej poświęcono materjalizmowi djalektycznemu 187 kolumn małego petitu. Dla bezstronnego obserwatora sowieckiego ruchu filozoficznego nie może, mimo najrozmaitszych nawet zastrzeżeń, ulegać wątpliwości fakt niebywałego poprostu popytu na dzieła filozoficzne Z. S. R. R. To że niektóre prace filozoficzne rozchodzą się tam w 55 tysiącach a nawet i w 100 tysiącach, mówi bardzo wiele.

STANISŁAW BRZOZOWSKI

MARKSIZM I FILOZOFJA

W pismach Marksa i Engelsa z okresu, w którym wyjaśniali oni sobie stanowisko, jakie mieli zająć wobec zasadniczych zagadnień życia i myśli naszej epoki, odnajdujemy częste wzmianki o „ostatnich filozofach".

Ostatnich? Jak mamy to rozumieć? Czyżby istotnie filozofja miała stać się czemś zbytecznem, niepotrzebnem? Czyżby nagle zagłuchła żądza i potrzeba jasności w pojmowaniu siebie i świata? Czy też pozyskane zostały raz na zawsze ustalone rozwiązania zagadnień, które dotychczas niepokoiły myśl ludzką i sumienie? Niepodobna nie spostrzec, że w marksizmie współczesnym panują pod tym względem pojęcia niejasne i dwuznaczne. Mamy tu do czynienia z jednem z tych zagadnień, nad któremi współczesna literatura marksistyczna lubi przechodzić do porządku dziennego pospiesznie a nieszczerze, maskując tanim a szablonowym dowcipem, nic niemówiącym frazesem, całkowity brak wniknięcia w istotę sprawy.

Mówi się naprzykład: każdy systemat filozoficzny jest odbiciem danej struktury ekonomiczno - społecznej i analiza zawsze jest w stanie wykazać poza pozornie logiczną budową pojęć — utajoną grę interesów. Jakiż wypływa stąd wniosek: czy ten, że miejsce filozofji zająć ma w przyszłym układzie narodzić się mającej kultury roztrząsanie i analizowanie, jakiemu układowi sił społecznych odpowiadał ten lub ów ze znanych światopoglądów? Człowiek przyszłości będzie wiedział dokładnie, jak wyobrażał sobie świat członek trzeciego stanu z epoki, poprzedzającej wielką rewolucję francuską, lub drobnomieszczanin z roku 1848 — ale czy ta wiedza ma nam zastąpić odpowiedź na własne niepokojące jego samego pytania? Czy ten przyszły człowiek, ta nowa, swobodna ludzkość, narodziny której są jedyną nadzieją wszystkich, co mają jeszcze odwagę czuć i myśleć po ludzku, będzie tylko przechowywać pamięć błędów i porażek, przez ludzkość dotychczasową popełnianych i doznawanych, sama zaś nie zdobędzie się ani na jedno słowo twórcze... Dziwny istotnie pogląd na ludzkość i jej siły, który czyni jedyną dźwignią życia umysłowego błąd. Dopóki istnieją przeciwieństwa klasowe, póty ich gra i walka wytwarza systematy filozoficzne, konwencje moralne, twórczość artystyczną, gdy jednak zaniknie działanie tego czynnika, wszystko to ustanie. Innemi słowy, gdy zaniknie działanie czynnika, który wykrzywiał wszystkie stosunki zewnętrzne i wewnętrzne człowieka, który nie pozwalał mu być szczerym ani wobec przyrody, ani wobec myśli własnej, ani szczególnie wobec zagadnień współżycia ludzkiego, zaniknie sama praca myśli. Gdy zaniknie to, co dotychczasowej ludzkości widzieć prawdę przeszkadzało, oślepnie ona całkowicie. Gdyby jedyną wiedzą, jaką zabezpiecza i daje marksizm, było pojmowanie tych sprężyn i interesów życiowych, które fałszowały dotychczas i czyniły niezupełnemi wszelkie usiłowania poznania świata i samouświadamiania ludzkości, byłby on filozofją bankructwa człowieka, nie zaś postępu i odrodzenia. Sens jego bowiem cały polegałby wówczas na tem: myśl ludzka za jedyne zadanie ma albo uprawiać wyzysk i uciemiężenie istniejące albo tworzyć urojenia, mające nam przesłaniać twardą i okrutną rzeczywistość i nie pozwolić dostrzec własnego upokorzenia i nędzy, albo też nareszcie przeniknąć tę grę oszustwa i samoułudy i zrzec się myśli, której naturą i zadaniem jest kłamać. Kłamstwo jest żywiołem ludzkości niewyzwolonej, ludzkości, która musi być oszukiwana i łudzona, aby móc znieść kaleczący ją i poniżający ustrój, ludzkości wolnej kłamstwo ani ułuda potrzebnemi nie będą. Czy ma to znaczyć, że niepotrzebną będzie jej i myśl? Marks nauczył nas dostrzegać interes poza każdą dotychczasową bezinteresownością, nauczył nas, że człowiek nie mógł oddawać się bez

ZOFJA LISSA

O STYLACH NARODOWYCH W MUZYCE

Humaniści współcześni zrezygnowali już z twierdzenia o *splendid isolation* nauki od przejawów polityczno-społecznych. Nikt już nie wierzy, jakoby nasze myślenie było niezawisłe od naszych instynktów i afektów, a te ostatnie wolne były od nacisku środowiska i haseł dnia.

Aktualność problematyki rasowo-narodowej w dzisiejszej Europie Środkowej każe nawet „chłodnym" badaczom zwrócić uwagę na tenże punkt widzenia i na nowo podjąć zagadnienia, znane już dawniej, ale obecnie inaczej obciążone emocjonalnie, na innej płaszczyźnie aktualne.

Wyrazem takiej infiltracji aktualności nawet na teren muzyczny są w ostatnim czasie dwa artykuły, związane z zagadnieniem stylu narodowego w muzyce: dr. Pulikowskiego „Zagadnienie historji muzyki narodowej" (w „Życiu Sztuki") i dr. Łobaczewskiej „Czy istnieje styl narodowy w muzyce" (w „Pionie"). Dr. Pulikowski uważa, że style narodowe i ich rozwój stanowią rdzeń wszelkiej historji muzyki, a styl epoki jest tylko konwenansem, modą, dołączającą się do tego trzonu od zewnątrz. W konsekwencji tego założenia domaga się, by właściwą metodą rozpatrywania dziejów muzyki było historyczne ujęcie stylów narodowych, a za wtórny tylko problem uważa ich każdorazowy stosunek do ogólnego stylu epoki. W pewnym stopniu przeciwstawia się temu postulatowi dr. Łobaczewska, starając się wykazać równorzędność obu tych współczynników w rozwoju tej sztuki.

Na marginesie tej dyskusji pragnęłabym dorzucić parę uwag z punktu widzenia socjologji muzycznej. Jeśli bowiem spróbujemy zastanowić się nad *genezą* stylów narodowych w muzyce, a potem dopiero nad formami ich przejawiania się w tej sztuce, otworzą się przed nami pewne aspekty i zagadnienia, których wymienione artykuły nie brały pod uwagę.

Styl narodowy w muzyce — jak i w innych sztukach — ma swe źródło w dwu czynnikach: zewnętrznym, *socjalnym* i wewnętrznym, *psychologicznym*. Z jednej strony podłoże wykrystalizowania się stylu narodowego stanowią klimat, gleba, rodzaj i warunki pracy, ustrój, jednem słowem ogół czynników, składających się na środowisko danej grupy etnicznej. One to wpływają w pierwszym rzędzie na dobór i układ surowca muzyki, t. j. materjału dźwiękowego, w dalszym zaś ciągu na ustalenie się pewnych typów melodyki, rytmiki i t. p., a więc już pewnych pierwiastków stylistycznych danej muzyki narodowej. Ale poprzez te właśnie pierwiastki przejawia się już zarazem czynnik drugi, moment biologiczno-psychologiczny, który nadaje muzyce każdego narodu jej specyficzny charakter, jej — żeby tak użyć modnego wyrazu — „klimat psychiczny". Ten drugi czynnik jest wyrazem *struktury psychicznej*, specyficznej dla danej grupy etnicznej, psychologji danego narodu, ukształtowanej przez wiekowy rozwój w warunkach mniej więcej jednorodnych, a współzależnej nietylko od niedających się narazie zracjonalizować czynników biologicznych, ale i od środowiska, warunków pracy i życia zbiorowego danego narodu. Te dwa czynniki, biologiczny i społeczny, krzyżując się i współdziałając przez szeregi pokoleń wypracowują specyficzny dla każdego narodu typ percepcji muzycznej, rodzaj muzykalności, a w konsekwencji i rodzaj *produkcji*. Już u podstaw stroju muzycznego danej grupy etnicznej leżą oba wymienione czynniki: podział oktawy na mniejsze interwały zależy zarówno od przyrodzonej czułości słuchu danego narodu (a więc moment przyrodniczy), jak i od stanu uprzemysłowienia w okresie ustalania się stroju. Stan przemysłu, a więc i budowy instrumentów, zaważył równie silnie na stroju hinduskim, jak mistyka cyfr w muzyce staro-chińskiej. Na ukształtowanie się właściwego danej grupie surowca muzycznego działają więc — jak widzimy — zarówno czynniki przyrodnicze, jak materjalne i takie, które już płyną z samej nadbudowy, jak n. p. z religji.

Ale różnice stylistyczne płynące z odmiennego surowca muzycznego nie odgrywają znaczniejszej roli w rozwoju muzyki. Wszak cała muzyka europejska od wieków operuje tego samego typu materjałem dźwiękowym, a właśnie w jej zakresie różne typy muzyki tworzą odmienne style narodowe.

I teraz dopiero dołącza się tu problematyka socjologiczna. Bo tylko w pewnego typu muzyce, a mianowicie w muzyce *ludowej* przejawiają się czyste cechy stylów narodowych. Tylko muzyka ludowa, będąca tworem kolektywnym, przez pokolenia filtrowana i przez wieki krystalizująca się w swej najczystszej, psychice danego narodu odpowiadającej formie, tylko ta muzyka jest wyrazem stylu narodowego w ścisłem tego słowa znaczeniu. Muzyka ludowa, tradycją przekazywana z pokolenia na pokolenie, odcięta od wpływów innych grup etnicznych zachowała w czystej formie to, co jest muzycznym wyrazem psychiki danego narodu. Wprawdzie w ciągu wieków i tu możliwe było oddziaływanie wpływów obcych (n. p. wnikanie melodyki kościelnej do ludowej), ale działo się to w stopniu znacznie mniejszym, w tempie wielekroć wolniejszem, aniżeli w muzyce artystycznej. Pierwiastki napływowe natrafiały tu na struktury tak okrzepnięte, w sobie zwarte, że ich modyfikacja lub utrącenie były znacznie utrudnione

Inaczej sprawa przedstawia sie na terenie muzyki artystycznej. Ani momenty natury biologicznej ani społecznej nie pozwalają na zjednoznaczne sprecyzowanie kryterjów stylu narodowego, jak to zaraz postaramy się wykazać.

Z chwilą oddzielenia się środowiska miejskiego od wsi, z chwilą ukształtowania się odrębnych form życiowych i kultury miejskiej, następuje rozdział miedzy muzyką ludową a artystyczną, muzyką masy, zbiorowo tworzoną, a sztuką elity duchowej, indywidualnie powstającą, przeżywaną już nie w związku bezpośrednim ze sprawami życia codziennego, ale w wyodrębnionej od codzienności *postawie estetycznej*. Początek tego rozdziału widać już w kulturze antycznej Grecji. Ta muzyka elity z różnych względów staje się mniej wyraźna w swych cechach narodowych od ludowej. I mimo że z niej czerpie swe początkowe właściwości, z czasem oddala się znacznie od swego punktu wyjścia, by dopiero w 19. w. w zupełnie zmienionej postawie wewnętrznej do niej powrócić (zob. niżej). Po pierwsze, miasta tworzą centra, w których dokonuje się najżywsza wymiana wartości kulturalnych różnych narodów. Po drugie, koncentrująca się w miastach klasa posiadająca odchyla się w swych formach życia i kulturze od prymitywnej sztuki ludowej. Im bardziej naprzód w historji Europy, im silniej rozwija się przemysł, a przedewszystkiem handel, im silniej społeczeństwo różnicuje się klasowo, tem silniejsza przepaść otwiera się między muzyką ludową danego narodu, a kosmopolityzującą się, artystyczną muzyką warstw wyższych. Średniowiecze tworzy już wspólny język muzyczny górnych warstw społecznych całej Europy, który zgodnie odcina się od muzyki plebsu. Pogarda, z jaką dwory średniowiecznych władców odnoszą się do wędrownych wagantów, galliardów i jonglerów, reprezentantów *artis vulgaris*, przyjmując równocześnie w hołdach muzyków „prawdziwej" sztuki obcych krajów, jest chyba najlepszym dowodem tej klasowej separacji kulturalnej, która właśnie przyczynia się do umiędzynarodowienia stylu muzycznego. (Najwyższym wyrazem takiej klasowej odrębności jest Japonja, w której do dziś każda z klas społecznych ogranicza się do odrębnych skal w swych melodjach). W tem umiędzynarodowieniu muzyki niemałą rolę odegrał Kościół, który w chorale gregorjańskim stworzył wspólny punkt wyjścia dla muzyki artystycznej różnych krajów. Jak więc widzimy momenty natury ekonomiczno-społecznej *nie* przyczyniały się do wykształcenia odrębnych stylów narodowych muzyki artystycznej, ale wręcz przeciwnie. Pozostawałyby więc jedynie czynniki biologiczno-psychologiczne, jednorodna struktura psychiczna twórców jednego narodu, podobny typ muzykalności, a więc i stylu muzyki artystycznej.

Ale niestety i z tą więzią jest krucho, skoro weźmiemy ją pod lupę dokładniejszej obserwacji. Apelacja do czynnika biologicznego miałaby wtedy tylko rację bytu, gdyby można było przyjąć absolutną „czystość" rasowo-narodową kompozytorów, brak wszelkiego krzyżowania się rozmaitych narodowości w drzewie genealogicznem muzyków każdego narodu. Ale jakże trudno o tę właśnie czystość! Z drugiej zaś strony historja dowodzi, że twórcami elementów stylistycznych, najbardziej dla danego narodu charakterystycznych, bywali częstokroć kompozytorzy zupełnie odmiennej narodowości! Tylko parę przykładów tych krzyżowań kulturalnych i przyrodniczych: Willaert, założyciel szkoły weneckiej, twórca polichoryczności; tak typowej dla włoskiego poczucia piękna dźwiękowego — był Niederlandczykiem, reformy opery francuskiej w 17 w. dokonuje włoski kuchcik, Lully, a w 18 w. — Gluck, Austrjak z pochodzenia. Typowo niemiecka w swem poczuciu formy szkoła wiedeńska — to Haydn, potomek Kroatów, Beethoven pochodzący z rodziny flamandskiej. A okres romantyzmu: w żyłach Schumana płynie krew słowiańska, Chopin, najbardziej reprezentatywny kompozytor narodowej muzyki polskiej, jest po ojcu Francuzem, a Wagner, to najczystsze wcielenie germańskości w muzyce, to — jak dziś powszechnie wiadomo — syn swego przyszłego ojczyma, żydowskiego aktora Gayera! I wprawdzie nie brak biologicznie „czystych" reprezentantów każdego narodu wśród kompozytorów różnych krajów, przykłady przytoczone podkopują nieco legendę o stałej, niezmiennej, tylko danemu narodowi właściwej strukturze psychicznej, dochodzącej do specyficznego wyrazu w muzyce artystycznej. W muzyce *ludowej* — tak, ale nie *w artystycznej!* O „metafizycznym rdzeniu narodowym" możnaby mówić, gdyby nie zachodziły te dwa rodzaje krzyżowania się, kulturalne i przyrodnicze. A one właśnie zachodzą od wieków, przyczyniając się nietylko na terenie muzyki, ale wogóle kultury materjalnej i duchowej do jej umiędzynarodowienia. One to właśnie są podstawą wspólnego danej epoce stylu, tak w życiu, jak i w sztukach.

Trudno zatem mówić o czystym stylu narodowym w odniesieniu do muzyki artystycznej. Jest ona od wieków wytworem i przedmiotem estetycznego doznania klas posiadających, jest sztuką ze wszystkich najbardziej kosmopolityczną, przemawiającą językiem wszystkim narodom zrozumiałym, a odgraniczającą się w poczuciu swej „artystyczności" od muzyki mas ludowych, wulgarnej, prymitywnej, nieartystycznej. Nie można zaprzeczyć, że i muzyka artystyczna różnych krajów posiada swój odrębny charakter. Ale charakter ten występuje wyraźnie i silnie tylko wtedy, gdy muzyka artystyczna sięga do skarbnicy właściwej muzyki narodowej, do muzyki ludowej. Okres romantyzmu odkrywa właśnie te złoża prawdziwej czysto narodowej sztuki ludowej i żywiąc się jej sokami, na długo, bo po dziś dzień, odmładza artystyczną muzykę poszczególnych krajów Europy, nadając każdej z nich jej odrębne piętno.

Ale transponując wytwory sztuki ludowej na poziom artystycznej muzyki swego wieku dokonuje zarówno romantyzm, jak doba współczesna pewnego zafałszowania tej sztuki. Obarczając je harmoniką, wyrosłą z ducha tonalności lub stylu współczesnego, ubierając je w formy, uzupełniając środkami muzyki artystycznej, paczy ich charakter w sposób najbardziej zasadniczy. Kompozytorzy nie zdają sobie sprawy z tego, że muzyka ludowa i artystyczna wyrosły z zupełnie odmiennych warunków zewnętrznych i podstaw psychicznych. Pierwsza jest jeszcze związana bezpośrednio z przejawami życia, jest jeszcze w większości wypadków sztuką *stosowaną*, stąd prostota jej form i prymitywność środków. Sztuka ludowa, podobnie jak sztuka ludów prymitywnych wyrasta z podłoża użytecznościowego, ma spełniać jakieś funkcje w życiu gromady, jest mniej lub więcej związana ze sprawami życiowemi (praca, wesele, pogrzeb, obrzęd). Sztuka elity społeczno-duchowej służy już tylko celom czysto estetycznym, pewnej postawie psychicznej, która w ciągu wiekowej sublimacji wyłoniła się z tamtego, utylitarnego nastawienia. Historycznie pierwotną kategorją wartości — co jest podstawowem założeniem socjologji sztuki — była *celowość* wytworu (czy był nim dzban, czy pieśń, czy strój człowieka), a z niej wyłoniła się dopiero kategorja *piękna*, kategorja estetyczna.

Ta właśnie różnica nastawień tworzy przepaść, oddzielającą dziś jeszcze muzykę ludową od artystycznej. Odmienne skierowanie społeczne, mające swe źródło w pochodzeniu z różnych stadjów rozwojowych ludzkości, sprawia, że są one sobie obce. I dlatego przeniesienie sztuki ludowej na teren artystycznej jest zawsze tylko stylizacją tej ostatniej w duchu ludowości.

Gromadne czerpanie z zasobów ludowych, typowe dla romantyzmu i naszej doby, należy raczej uznać za wyraz *ogólnych tendencyj epoki*, która tracąc grunt pod nogami, szuka oparcia tam, gdzie wszelki twór pulsuje żywą krwią, gdzie wartości są trwałe i żywotne. Tam, gdzie niema jeszcze odrębnego *zawodu* muzyka, który w walce o byt i uznanie zmusza do poszukiwania coraz bardziej wyrafinowanych, coraz mniej z człowiekiem związanych form wyrazu. Posługiwanie się motywami ludowemi w muzyce artystycznej nie jest wystarczającem kryterjum jej stylu narodowego. Tego kryterjum należy raczej dopatrywać się w ogólnym charakterze tej muzyki, w jej „klimacie". Ale jak się okazuje i klimat ten nie jest z koniecznością związany z przyrodniczą przynależnością twórcy do danego narodu. Może raczej ze środowiskiem. A więc znowu zależy od spraw, które raczej są przedmiotem socjologji, aniżeli metafizyki.

Tyle — na marginesie dyskusji na temat stylu narodowego w muzyce.

---

zastrzeżeń logice myśli ani logice rzeczy, gdyż przystępował zawsze do badań i dociekań z gotowemi już odpowiedziami. Myśl miała zawsze doprowadzić do rezultatów uprawniających, usprawiedliwiających dany ustrój społeczny, bądź bezpośrednio, bądź też pośrednio i bezwiednie: dany ustrój wytwarzał w badaczu czy myślicielu systemat pojęć moralnych, filozoficznych, estetycznych, które uważał on za „wrodzone", podyktowane przez rozum wieczysty i t. p. Podstawę wszelkiego dogmatyzmu teoretycznego stanowił i stanowi zawsze dogmatyzm praktyczny i społeczny. Póki społeczeństwo nie będzie prawdziwie i istotnie organizacją swobody wszystkich swoich członków, póki będzie w niem coś narzuconego, wyniesionego ponad krytykę, póki organizować ono będzie tylko swobodę cząstkową, swobodę do pewnego stopnia — póty i w myśli ludzkiej grasować będą różne uświadomione lub nieuświadomione dogmaty, póty świat będzie dla człowieka zagadnieniem z zawsze znanem zgóry rozwiązaniem, pewnym gatunkiem logogryfu, z którego wynika zawsze jakaś maksyma budująca, nudna i szara. To wszystko wiemy i w tropieniu tych altruistycznie-niemiłosiernych (ale nie burzcie przeszłości ołtarzy, jeszcze się na nich święty ogień żarzy i miłość ludzka tam stoi na straży etc.) i czy też samootwarcie drapieżnych samooszustw zyskaliśmy już niepospolitą wprawę. Jest to dopiero negatywna, czysto przygotowawcza część pracy. Tłomacząc i wyjaśniając, dlaczego ludzkość we wszelkich dotychczasowych próbach swych i usiłowaniach wytworzenia światopoglądu była skrępowana, dlaczego wszelkie te próby musiały prędzej czy później wyrodnieć, Marks tem samem zakłada podstawy pod przyszłe wielkie odrodzenie filozofji. Wykazuje tylko, że droga do wyzwolenia filozoficznego prowadzi poprzez wyzwolenie rzeczywiste, droga do myśli poprzez czyn. W tem znaczeniu jedynie pojmować można jego słowa „o ostatnich filozofach", o „końcu filozofji jako takiej".

(Stanisław Brzozowski, Kultura i życie, Warszawa 1936, Drogi i zadania nowoczesnej filozofji, str. 264-266).

Stanisław Brzozowski

ANATOL MIKUŁKO

MÓZG I JEGO MECHANIZM

„Mózg i jego mechanizm“ — to tytuł książki, zawierającej rozprawy trzech najwybitniejszych fizjologów współczesnych: Adriana, Sherringtona i zmarłego niedawno Pawłowa, laureatów nagrody Nobla.

Wszyscy trzej uczeni zajmują się zagadnieniem czynności mózgu i stosunkiem tych czynności do psychiki. Wszyscy trzej zgodnie stwierdzają, że jeśli sprawa działalności psychicznej jest wogóle możliwa do rozwiązania — to odpowiedzi należy oczekiwać tylko od fizjologa.

Laboratoryjny atak na najbardziej subtelny odcinek naszego organizmu rozpoczął się mniej więcej przed 50-ciu laty.

Jakiemi skomplikowanemi drogami materja daje początek myśli, czy jest możliwość uchwycenia *in flagranti* zjawiska psychicznego w gąszczu komórek kory mózgowej — i co więcej — czy nie możnaby objąć formułami równań matematycznych elementów, utrzymujących w każdej chwili, w każdej sytuacji równowagę między światem otaczającym, a reakcją organizmu — oto zagadnienia, które ostrożnie starali się rogryźć wymienieni trzej badacze.

Książka nie daje oczywiście historycznego obrazu walki o „drogę“ do mózgu. Artykuły, w niej zawarte, są jakgdyby reportażami mozolnego marszu naprzód, imponują szczupłością stronic w stosunku do pokonanej pracy.

Wybrane i przetłumaczone na język polski przez doktorów Jerzego Konorskiego i Stefana Millera — stanowią relację, jak daleko czy jak blisko znajduje się fizjolog od zgłębienia działalności t. zw. umysłu.

Jak wiadomo, o każdej naszej czynności, o każdej reakcji organizmu, decyduje układ nerwowy, t. j. mózg, rdzeń i nerwy obwodowe. Naturalnie najwyższą hierarchicznie instancję stanowi mózg. Jeżeli istnieje tzw. życie psychiczne — to właśnie w niem jest ono zlokalizowane.

Profesor fizjologji w Cambridge — Edgar Douglas Adrian — w zdobywaniu twierdzy mózgu kieruje „służbą łączności“, śledzi bowiem nerwy obwodowe. Bada przedewszystkiem samą komórkę i jej czynność.

Podobnie jak dom z cegieł — tak układ nerwowy składa się z bardzo wielkiej ilości komórek. Sam tylko mózg zawiera ich dziesięć miljardów.

Komórka nerwowa, czyli inaczej neuron, posiada kilka wypustek, któremi łączy się z innemi komórkami, tworząc w ten sposób włókno. Po włóknach przebiegają „wrażenia“, odbierane przez nas ze świata zewnętrznego.

Naprzykład przy ukłuciu w palec zostaje podrażnione zakończenie czuciowe włókna nerwowego. Stan czynnościowy komórek ulega zmianie i po włóknie wędruje impuls. Trafną analogją może tu być przesuwanie się płomienia wzdłuż zapalonego lontu.

Gdy impuls, wywołany przez ukłucie palca, osiągnie swój punkt kulminacyjny, to znaczy dobiegnie do mózgu (albo rdzenia) — natychmiast „drogą powrotną“, ale już po włóknie odśrodkowem, leci z błyskawiczną szybkością rozkaz skurczu mięśni.

W rezultacie ręka zostaje cofnięta — niemal jednocześnie z faktem ukłucia.

Adrian w szeregu doświadczeń zbadał, „co się dzieje“, jakie procesy zachodzą we włóknie nerwowem. Rola zakończeń czuciowych polega na funkcji cyngla dla wzniecania impulsów, które są zkolei przeprowadzane przez włókna nerwowe. Adrian pierwszy wykrył niezmiernie ważne prawo, że — mimo odmiennych pozorów — wszystkie impulsy, powstające we włóknie nerwowem, są jednakowe co do wielkości, szybkości przebiegu i t. p., lecz częstość, z jaką one się powtarzają, zależy od siły działającej podniety.

Resumując: — nasz układ nerwowy całe bogactwo świata zewnętrznego potrafi wyrazić przy pomocy rozmaitej rytmiki, niejako „poezji“ jednakowych impulsów nerwowych.

Powstawaniu impulsów i wogóle każdej czynności we włóknie nerwowem towarzyszą zaburzenia elektryczne, prąd, który można zmierzyć, efekt zaś jego nawet zobaczyć i usłyszeć.

„Elektryczność“ — według Adriana — ma wielkie znaczenie w działaniu całego układu nerwowego. Embrjolog naprzykład jest w stanie wyhodować płaz o nadliczbowej ilości kończyn, oczu, uszu i innych narządów — układ nerwowy otacza je opieką, łączy zapomocą włókien z resztą organizmu. Zwierzę zaczyna posiłkować się sprawnie swem nowem pokracznem ciałem. Te kształtujące siły układu nerwowego są, zdaniem Adriana, natury elektrycznej.

Fale, pulsacje elektryczne, nie należą tylko do właściwości „linji frontowej“ — to znaczy nerwów obwodowych. Powstają one i przy każdym przejawie działalności „głównej kwatery“ — to znaczy mózgu. Że są „współuczestnikami“ myślenia, rozmowy i t. d. — świadczy o tem fakt, iż przez podrażnienie elektrycznością kory mózgowej możemy wywołać w świadomości pojawienie się dźwięków, słów i obrazów wzrokowych.

Charles Sherrington, profesor fizjologji Uniwersytetu w Oxfordzie, za przedmiot swych badań obrał czynności ośrodków nerwowych. Ponieważ naogół nie posiadamy możności bezpośredniego dotarcia wgłąb układu nerwowego i zbadania pracy komórek „na miejscu“ — elementem badania jest tutaj odruch, czyli reakcja organizmu na podnietę.

Sherrington pojmuje mózg, jako czuły aparat odbiorczo - nadawczy, który odbiera i wysyła rozmaite sygnały. Rozwinąwszy się wraz ze zwierzęciem, mózg jest dopasowany do jego mechanizmu ruchowego, jak klucz do zamku.

Zapomocą wzroku, słuchu i dotyku, które stanowią ekspozyturę nerwów (a te zkolei ośrodków nerwowych), zwierzę odgranicza i rozpoznaje pożyteczne od szkodliwego, idzie naprzód albo cofa się.

„Nerwy i mózg są jakgdyby pasmem prochu, zręcznie ułożonem między mięśniami a wciąż zmieniającym się światem zewnętrznym — w ten sposób, że zapalone przez świat zewnętrzny, zapalają zkolei mięśnie“.

A wiec to świat zewnętrzny nietylko przekręca klucz mechanizmu, ale decyduje i o tem, czy zamek ma być zamknięty czy też otworzony.

Badając sprawność sieci nerwowych, Sherrington śledzi drogę różnorodnych sygnałów. Zbiegają one do centrum, do mózgu i tu wywołują pewien stan, mogą się wzmacniać lub osłabiać — ostateczny efekt, czyli, mówiąc po literacku, „decyzja indywidualna“ zależy poprostu od algebraicznej sumy pobudzania i hamowania. Sherrington określa działalność mózgu, jako stałe balansowanie właśnie tych dwóch procesów — hamowania i pobudzania.

Badacz pisze: „O ile mi wiadomo, niema żadnej zasadniczej różnicy między psychicznemi i niepsychicznemi obszarami mózgu, ani w ich właściwościach fizycznych czy też chemicznych, ani w ich mikroskopowej strukturze“.

Rewelacyjne i najbardziej autorytatywne są stwierdzenia fizjologa Iwana Pawłowa, członka Rosyjskiej Akademji Nauk.

Pawłow po trzydziestoletniej pracy nad badaniem fizjologji narządu pokarmowego — następne trzydzieści lat swych naukowych wysiłków poświęcił fizjologji mózgu. Nie było to — jak sam pisze — przypadkowe. Zajmując się przez długi czas normalną działalnością gruczołów trawiennych, zetknął się, tak jak i inni badacze, z czynnikami natury psychicznej. Czynników tych niesposób było pomijać, tembardziej, że występowały one stale i odgrywały wielką rolę w przebiegu doświadczeń.

Co więcej: doświadczenia, dotyczące napozór nieistotnych gruczołów ślinowych, stały się punktem wyjścia klasycznych badań właśnie tych „czynników psychicznych“.

Pawłow rozwinął metodę odruchów, zapoczątkowaną przez innych uczonych. Że tak się wyrażę — za alfę i omegę uważa badacz t. zw. odruch warunkowy. Odruch warunkowy jest to reakcja organizmu na podniety, zachodząca przy udziale mózgu. Różni się ona od odruchów zwyczajnych tem, że nie jest wrodzona, ale nabyta podczas życia na podstawie praktyki. Odruch warunkowy stanowi rezultat pracy kory mózgowej, odruch zwyczajny zaś — niższych ośrodków nerwowych, n. p. rdzenia. Słowem — pierwszy, mówiąc potocznie, określa nasze postępowanie.

Wywołując sztucznie rozmaite odruchy warunkowe i uwzględniając ich wzajemną zależność, Pawłow dowiadywał się o procesach, zachodzących w korze mózgowej zwierzęcia.

Naprzykład taka niewinna „cieknąca ślinka“ zdradza w sposób wybitny wyższe czynności układu nerwowego. Pies, któremu podawano przez czas dłuższy pokarm „przy akompanjamencie dzwonienia“ — na sam już odgłos dzwonka, bez widoku jadła, wydziela obficie ślinę z pyska.

To, co psychologja definjuje określeniem „asocjacja“ — Pawłow nazywa czasowem połączeniem nerwowem niezliczonych czynników świata otaczającego z takiemi a nie innemi czynnościami organizmu. Wszelkie instynkty, jak szukanie jedzenia, obrona, popęd płciowy — którym psychologowie przyswoili nazwe „emocyj“, Pawłow określa, jako najbardziej złożone odruchy zwyczajne, czyli bezwarunkowe.

Zasadnicza fizjologiczna funkcja kory mózgowej polega na stałem przyłączaniu niezliczonych bodźców warunkowych do ograniczonej liczby zasadniczych, wrodzonych każdemu bodźców bezwarunkowych, czyli krótko: na uzupełnianiu odruchów bezwarunkowych przez warunkowe.

W wyniku ostatecznym — jak precyzuje Pawłow — „kora mózgowa wykonywa stale w najrozmaitszym stopniu analizę i syntezę podniet, które na nią padają, co może i powinno być nazwane elementarnem, konkretnem myśleniem. Działalność więc kory mózgowej musi być zdefinjowana, jako wyższa czynność układu nerwowego, zamiast dawnego terminu „czynności psychicznej“.

A oto jak Pawłow tłumaczy „zjawisko“ mowy:

„Jeżeli nasze czucia i wyobrażenia, odnoszące się do świata zewnętrznego, są dla nas pierwotnemi sygnałami rzeczywistości, sygnałami konkretnemi, to mowa, specjalnie zaś podniety kinetyczne, płynące do kory mózgowej od narządów mowy, stanowią wtórne sygnały — sygnały tych sygnałów“.

W ciągu 60-letniej nieprzerwanej pracy naukowej poparł badacz swe tezy ogromną ilością doświadczeń.

Jak był ceniony — świadczy fakt wzniesienia w Leningradzie na wezwanie Pawłowa specjalnej dla niego „wieży milczenia“, jedynego w tym rodzaju laboratorjum na świecie.

W roku 1932 na międzynarodowym zjeździe fizjologów w Rzymie uczony rozpoczął swe przemówienie od słów: „Przypuszczam, że mam okazję po raz ostatni występować przed ogólnem zgromadzeniem moich kolegów“...

Właśnie przed kilku miesiącami przestał działać mózg wielkiego badacza mózgu.

* * *

We wspomnieniach, poświęconych Pawłowowi, b. jego asystent i jeden z tłumaczy wyżej omówionej książki dr. Jerzy Konorski pisze („Wszechświat“ Nr. 3): „O talencie operacyjnym Pawłowa, ujawnionym już na początku jego pracy naukowej świadczy fakt, że wykrycie przezeń około 1880 roku nerwów wydzielniczych trzuski dopiero po 20-tu latach spotkało się z należytem uznaniem, gdyż do tego czasu nikt nie potrafił powtórzyć jego operacji... Satysfakcję sprawiało patrzeć na precyzję, elegancję i szybkość pracy Pawłowa. Pomagać mu w operacji było trudno: po pierwsze operował lewą ręką (był oburęczny — pisał prawą), co było dla pomocnika źródłem niewygód, po drugie robota „paliła mu się w rękach“ i pomocnik poprostu nie mógł za nim nadążyć“.

Dr. Jakób Małynicz, omawiając znaczenie prac i odkryć genjalnego uczonego („Głos Współczesny“ Nr. 3), syntetyzuje: „Pawłow zadał śmiertelny cios mistycyzmowi w ujęciu zjawisk przyrodniczych“... ...„Dowiódł, że zjawiska psychiczne powstają w wyniku czynności fizjologicznych“... „Teorja odruchów obaliła wszystkie dotychczasowe spekulacje metafizyczne i spirytualistyczne o duszy i czynności duchowej, ujawniając czysto materjalne podłoże czynności psychicznej“.

Pawłowa pochowano w Leningradzie obok grobu Mendelejewa. W Kołtuszi pod Leningradem powstało całe „miasteczko naukowców“, którzy kontynuują dzieło zmarłego.

ANNA KOWALSKA

MADAGASKAR*)

— Suknia nie jest jeszcze gotowa do próby. Może pani przeczyta sobie ten wiersz!

Pani Gustawa podaje mi zmięty arkusik papieru. Wiersz. Koniec mniej więcej taki:

nareszcie katów co chłepcą naszą krew nadejdzie kres,
przed progiem chramu ojczyzny legnie parszywy pies.

— Wiersz ładny — mówię — to pani go pisała?

Uśmiecha się kaprawemi oczkami, z których wychyla się jakieś nieznane mi szaleństwo. Bardzo się w tym roku zmieniła pani Gustawa. Gorzej też szyje.

— Gdzież ja, pani łaskawa, to nasza święta! Nie wie pani? Święta narodowa. Ma piętnaście ledwo lat a rozumniejsza od nas wszystkich. Co noc sny miewa. Rano zaraz po obudzeniu pisze to, co jej duchy powiedziały.

— Duchy? — powtarzam.

— Tak, wszystkie narodowe duchy. Mickiewicz, Krasiński, sami najwięksi. Marją ją tam nazywają, tu na ziemi nazywa się Jadwiga.

— To trzeba ją leczyć?!

— Nie ze świętości!

— Ale przecież musi ją to bardzo męczyć?

— Nie, rano wstaje świeżutka jak kwiatek. Niedługo już nadejdzie Wybawiciel. Obiecuje. I los świetny Polsce naszej wróży. Bo, pani wie, że Żydzi pochodzą od małpoczłeków z Madagaskaru i tam też ich przegonimy, a Polacy to czyści potomkowie Izraela.

Nie dziwię się już, pytam tylko, jak to będzie z Madagaskarem, kiedy to przecież kolonja francuska. Ale pani Gustawa nie zajmuje się wiele tem, co mogą chcieć Francuzi. Przecie to naród taki zdemoralizowany, czyż trzeba się z nimi liczyć.

Przychodzą dwie panie, denerwują się — suknie nie gotowe.

— Co się z panią dzieje, zawsze pani bywała taka punktualna.

— Trudno, człowiek haruje od rana do nocy, a przecież i swoją duszą musi się zająć. Sukienki będą jutro.

Idę do kabinki przymierzać. Coś pruje, poprawia.

— Proszę chwilkę przeglądnąć te zeszyty, poprawię na poczekaniu.

*) Fakty autentyczne. Imiona w dialogu zmienione.

NAPAŚCI NIEOSOBISTE

ZJAZD PRACOWNIKÓW KULTURY

Lwowski Zjazd w obronie kultury stał się najgłośniejszą sprawą w ostatnim czasie; o niczem innem tyle nie powiedziano i nie napisano.

Uruchomiono cały aparat propagandowy dla potępienia i zohydzenia go, a jako jeden z największych zarzutów wysunięto charakter polityczny Zjazdu. I trzeba to odrazu stwierdzić, że jeśli w założeniu swojem Zjazd miał być imprezą społeczno-kulturalną, to dzięki swojemu przebiegowi stał się wcale niedwuznacznie przedewszystkiem *manifestacją polityczną*. Temu nikt nie może zaprzeczyć; manifestacja polityczna w dzisiejszych trudnych i pełnych niepokoju czasach jest czemś pocieszającem i godnem najwyższego uznania. Zdaje mi się bowiem, że Zjazd lwowski był pierwszą wyraźną manifestacją zbiorową pisarzy polskich od chwili odzyskania niepodległości państwowej. Tego nie można lekceważyć i fakt ten trzeba uznać jako przełomowy. Znaczna grupa literatów jasno wypowiedziała się, do czego dąży i czego pragnie.

Nikt nie spodziewał się jednak, że Zjazd zyska tak niebywały rozgłos. Cała prasa prawicowa, z klerykalną, endecką i konserwatywną na czele, spostrzegła bowiem odrazu, że stało się coś niezwykłego i doniosłego i — w histerycznym szale rzuciła się na wszystkich uczestników Zjazdu. Od szeregu tygodni nie pisze się niemal o niczem innem. Ataki na Zjazd stają się coraz ostrzejsze, metoda paszkwilu, a nawet *denuncjacji* coraz brutalniejsza i mniej wybredna.

Według tej prasy Zjazd organizowany był przez komunistów i komunizujących, słowem był imprezą komunistyczną. Wiadomo zaś, co znaczy dzisiaj nazwanie kogokolwiek w Polsce komunistą lub komunizującym. Nazwanie to jest równoznaczne ze wskazaniem palcem: tego a tego należy wsadzić do kryminału lub do Berezy Kartuskiej!

Postawmy sprawę zupełnie jasno: w Zjeździe brali udział pisarze o różnych przekonaniach politycznych. Ogromną jednak większość stanowili *polscy socjaliści*. Niema czego ukrywać, tak było naprawdę.

Jest to jedną z oznak barbarzyństwa politycznego, jeśli nie umie się być już nie uczciwym, ale przynajmniej lojalnym wobec swego przeciwnika ideowego, że uznaje się tylko etykietkę, jaką się mu dla wiadomych celów przykleiło z własnej inicjatywy.

Niewątpliwie jednak te ataki prasy prawicowej popularyzują Zjazd w szerokich masach społeczeństwa. Nabiera on coraz większego znaczenia i w oczach opinji zarówno z tej, jak i z tamtej strony barykady urasta do godności jakiegoś potężnego symbolu.

Mimo to sytuacja jest taka, że właściwie nikt nie zbiera plonu, jaki ten Zjazd przyniósł. Nikt zań nie odpowiada wobec ponawianych ciągle ordynarnych napaści. Zorganizowany przez grono osób o różnych przekonaniach ideowych i politycznych, w istocie rzeczy był imprezą prywatną. Komitet organizacyjny po zlikwidowaniu spraw zjazdowych przestał właściwie istnieć i działać. Tymczasem sprawa Zjazdu istnieje nadal i istnieć jeszcze będzie bardzo długo.

Powtarzam: Zjazd Pracowników Kultury miał wyraźny charakter polityczny. Pogłębiła go jeszcze wroga kampanja prasowa. Zdawało się, że wobec tego ktoś powinien zdyskontować ten rozgłos i to znaczenie. Kto? Oczywiście, partja polityczna. Jaka? Polska Partja Socjalistyczna.

Nie będę tu uzasadniał — dlaczego. Jest to zresztą rzecz zupełnie jasna. Partja agresywnie usposobiona, bojowa usiłuje każdy teren, każde środowisko, które są jej bliskie lub pokrewne, przyłączyć do siebie, zaanektować. To prawo życia, to świadczy o jej żywotności, o zdolnościach rozwojowych i ekspansywnych.

Chciaż Zjazd był imprezą „prywatną", to jednak ze względu na jego znaczenie, ze względu na udział czołowych pisarzy socjalistycznych (Kruczkowski, Wasilewska i i.) i na rozgłos polityczny, powinien był być natychmiast zaanektowany przez organizację polityczną najbardziej mu bliską. P. P. S. winna była zapisać Zjazd na swoje konto, na swoje wieczyste dobro.

Tak się jednak nie stało. „Robotnik", organ naczelny P. P. S., wyparł się wszelkiej łączności ze Zjazdem (przed kim?) i nazwał go imprezą „prywatną", za którą nie ponosi i nie będzie ponosić odpowiedzialności.

Tak więc ataki całej prasy prawicowej są zupełnie bezcelowe. Trafiają w próżnię. Za Zjazdem nikt nie stoi, nikomu na nim nie zależy. I to jest chyba najsmutniejsze.

Przeglądam czarne zeszyty. Naklejone wycinki z gazet, inne pisane kolorowemi atramentami.

Czytam. Po chwili wyjmuję kalendarzyk i notuję.

Łódź, 31. X. W dzielnicy Chojny zniszczono towary, kupca Abrama Gutera oblano lizolem. Oślepł na miejscu.

Lublin, 28. X. Trzech chłopaków pobiło 60-letniego żyda Sabiborskiego. Zmarł.

Warszawa. 8. X. Raniono J. Światło nożem, trzonek się odłamał, ostrze zostało.

Warszawa. 9. X. Ul. Chłodna. Uderzono w twarz A. Himelsztejna i kastetem wybito mu oko.

Warszawa. 3. X. Tłum złożony z dwustu osób, podczas procesji zabił właściciela domu Chaskiel Delman i zdemolował okoliczne domy i czytelnie.

Nowe Miasto. 5. IV. Pięciu mieszkańców nożami raniło Sindela Jackowicza. Zmarł.

Białystok. 9. IV. Zabito Silbersztajna.

Kuropatniki. 7. V. Zabito Bognera.

Grochów. 8. V. Na fermie Chaluców zabito z rewolwerów siedemnastoletnią Frydę Wołkowyską i zraniono granat.

Warszawa. 31. V. Zmarł z ran Finkelsztajn.

Bakcz wieś k. Sołotwiny. 3. V. Zabito Engelberga.

Grodno. 9. VI. Puszcz zmarł z ran zadanych nożem.

Grodno. 10. VI. Zmarł z ran 21-letni Izrael Berezowski.

Grodno, 24. VI. Zmarł z ran Gedali Becher, lat 50.

Lwów. Rynek 24. VI. Poparzony petardą. Walczy ze śmiercią chłopiec Mozes Welner. 14-letni Efroim Fruchtman ogłuchł.

Warszawa. 23. VII. Napadnięto na półkolonję żydowską, 2500 dzieci. Pobito dzieci i nauczycielki.

Piątnica k. Łomży. 31. VII. Zrzucono z grobli Szaję Zaleszyna. Walczy ze śmiercią.

Warszawa. Ogród Saski. 24. VII. Dwóch chłopców żydów raniono ciężko nożami w plecy.

Chorzów. 27. VIII. W salach hotelu, gdzie miało się odbyć przedstawienie, oblano kwasem solnym jedenastu Żydów.

Grodno. 30. VIII. Zmarł z ran 31-letni Mojżesz Lipski.

Łódź. 1. IX. Zakłuto M. Moszkowicza.

Białystok. 9. IX. Obrzucono cegłami 75-letniego Mojżesza Chrabołowskiego, roznosiciela mleka.

Warszawa, ul. Wolność. 18. IX. Oblano dzieci żyd. gorącą wodą. Raniono ucznia Lewina nożem.

Słonim. 26. IX. Wybito oko Palańskiej, żyd.

Siedlce. 1. IX. Zamordowano 62-letniego J. Feniga. Żonę zbito kamieniami do nieprzytomności.

Łódź. 17. IX. Wybicie oka i rany w głowę. Chaim Rozengarten.

Łódź. W parku chłopcy pokłuli brzuch szpilkami kilkuletniemu synowi fryzjera.

— — — — — — — — — —

— To jeszcze w 1935 roku — mówi zachwycona moja pilnością, słodkim, cierpliwym głosem pani Gustawa. — Teraz dopiero ocknęliśmy się. Ale i w tych kilku miesiącach sporo się zrobiło. W grudniu zeszłego roku było około sześćdziesiąt napadów, coś ośm zamachów bombowych, trzynaście petardowych. Wykurzymy ich, to jest wyprawa krzyżowa. Kiedy w niedzielę popołudniu odpoczywam, to sobie odczytuję takie zapiski i obmyślam, coby to można zrobić. Tak jakbym ożyła. Bo, chociaż jestem krawcową, też mam potrzebę czemś wyższem rozgrzać sobie serce. Poprostu mam interes w życiu.

MARSZ, MARSZ DĄBROWSKI

Młody, zdolny reżyser teatru lwowskiego Bronisław Dąbrowski, otrzymał „rozwiązanie stosunku służbowego", z bardzo demonstracyjnem uzasadnieniem: wzięcie udziału w Zjeździe Pracowników Kultury. Magistrat lwowski i dyrekcja teatru, nie odnawiając umowy z Dąbrowskim, zupełnie niedwuznacznie stanęły na stanowisku politycznem. Dały do zrozumienia, że w doborze członków zespołu aktorskiego, w doborze sił artystycznych kierują się względami politycznemi, a nie artystycznemi. Dla wieku obeznanych z dzisiejszemi stosunkami, rzecz wydaje się zupełnie prosta i jasna. Nic nowego pod słońcem. I wzruszają melancholijnie ramionami.

Są jednak jeszcze ludzie moralnie niestępieni, których podobne jaskrawe i brutalne postępowanie oburza. Nie tylko oburza. Oni pragną przeciw tego rodzaju metodom stanowczo zaprotestować.

Bronisław Dąbrowski jest reżyserem zdolnym i pracowitym. Dał się poznać z szeregu doskonałych przedstawień. W zespole teatru lwowskiego wybił się w ostatnim roku na pierwsze miejsce. Wśród szarzyzny i przeciętności dorobku teatralnego dyr. Horzycy jego praca była czemś dodatniem i godnem uznania.

Bronisław Dąbrowski ma własne przekonania ideowe. Nie wstydził się ich i nie ukrywał. Jako recytator brał udział w wielu wieczorach, urządzanych dla lub przez robotników. Zdobywał ogromne powodzenie.

Brał również udział w Zjeździe Pracowników Kultury. Na zebraniu zamkniętem wygłosił odczyt o sytuacji teatralnej w Polsce. Dwukrotnie recytował wiersze na wieczorach autorskich i na Akademji, urządzonej w Teatrze Wielkim, w niedzielę 17 maja b. r. To była jego zbrodnia.

Zbrodnię podobną popełniło wielu ludzi. Idąc konsekwentnie po linji rozumowania Magistratu (co oczywiście byłoby tylko śmieszną kompromitacją), należałoby wobec wszystkich uczestników Zjazdu zastosować środki karne. Tak się nie stało. I słusznie. Nie było powodu. Zresztą — było ich za dużo. Zgóra 2000.

Konsekwencje poniósł jedynie Bronisław Dąbrowski — otrzymał wymówienie. Nie chcemy z niego robić bohatera. Zajęcie otrzyma zapewne gdzieindziej, a teatr lwowski straci jedną ze swych najlepszych sił i będzie nadal świecił pustkami, będzie nie „najlepszym" — jak się reklamuje dyr. Horzyca i jego zausznicy — ale jednym z najgorszych teatrów w Polsce.

Można rozmaicie oceniać Zjazd — pozytywnie i negatywnie, — można mieć wobec niego najrozmaitsze zastrzeżenia, nie można jednak robić tego co zrobiono z Bronisławem Dąbrowskim.

Z NICZEGO NIE REZYGNOWAĆ!

Polski ruch demokratyczny, ludowo-radykalny, społeczno-rewolucyjny i socjalistyczny politycznie krzepnie w siłach.

Gorzej jest, jeśli chodzi o sprawy kulturalne, ideowe, o t. zw. imponderabilja. Wysuwając hasła walki bezpośredniej, o nich się najczęściej zapomina, a co gorsza i co jest nie do darowania — lekceważy. Upaja się najłatwiejszemi, najprostszemi i mającemi tylko aktualny ładunek uczuciowy hasłami, upraszcza się sprawy i zagadnienia, które dla wielu ludzi nie są czemś równie prostem i równie łatwem. Idąc wszerz, nie idzie się równocześnie w głąb. Spotyka się pisarzy lewicowych, którzy traktują całą twórczość kulturalną, literaturę, przyszłość ludzkości w ten sposób, jakby się *wszystko* — świat, kultura, literatura, sztuka — od *nich samych zaczynało*. Daje się w ten sposób najłatwiejszy argument wrogom swoim. Zamiast być ruchem wszechogarniającym, mającym własny, własnemi siłami zbudowany kościec i własną tradycję walki ideowej i społecznej, tradycję sięgającą czasów najdawniejszych i mającą ciągłość i wielkich przedstawicieli, dobrowolnie się z niej rezygnuje; rzuca się na nią łapczywie i dla swoich celów odpowiednio preparuje nasza reakcja. Reakcja bowiem nie posiada żadnej szczytnej przeszłości. Chętnie więc i radośnie pożera to, co do niej nigdy nie należało, z czem nawet niegdyś bezwzględnie walczyła. Wielu naszych twórców-poetów, powieściopisarzy, publicystów, filozofów — wzięli pod czułą opiekę różni mistycy z obozu reakcyjnego i tak ich światu pokazali, że każdemu człowiekowi postępowemu wstyd się do nich przyznać. Nikt zaś nie zadaje sobie trudu odkłamać, odkryć fałszerstwa tych mistyków, a niesłusznie skrzywdzonych twórców i pisarzy „odbronzować".

Niewielu zapewne wie, jak bardzo społeczną jest polska literatura, jak bardzo radykalną, a nawet rewolucyjną i to począwszy od jej pierwocin z wieku XV, aż po dzień dzisiejszy.

Oficjalna historja literatury i krytyka jest od wielu lat w rękach endeków. W szkole panuje urzędowo superendecki prof. Chrzanowski. Nic dziwnego, że otrzymujemy odpowiednio wychowaną młodzież, a ci zdolniejsi spośród niej, nie znalazłszy w książkach, w podręcznikach prawdy, a tylko nudną „narodową" miksturę, sądzą, że cała polska twórczość była wytworem jakiegoś wstecznictwa, że była płaska i bezmyślna i już od wieku dziesiątego — endecka. Niestety, uniwersytet nie niweczy tego mitu, owszem — jeszcze go pogłębia. Rzadkie okazy *krytyki niezależnej* są albo niedostępne czytającemu ogółowi, albo „urzędowo" nieuznawane i lekceważone.

I przychodzi mi usprawiedliwiająca myśl, że jeśli tak jest, że jeśli ten stan ogłupienia jest powszechny — to nie są temu winni pisarze lewicowi. Ale oni poszli drogą najłatwiejszą — negacji. Trzeba zaś pokazać i udowodnić, że naprawdę było i jest inaczej, trzeba wiele wielkości znieść ze szczytów, a wsadzić na to miejsce inne, jedynie zasłużone. Trzeba przestudjować całą literaturę polską — nanowo odkryć i zapoznać się z tekstami — trzeba przebrnąć przez całą naszą twórczość, aby nabrać o niej prawdziwego pojęcia i dać jej prawdziwy obraz. Oto właściwe i godne zadanie krytyki postępowej i radykalnej.

Tem się udowodni, że współczesny ruch lewicowy nie wypadł komuś z gniazda, że nie jest czemś przejściowem, ale że posiadając własny trwały kościec ideowy, własną tradycję, śmiało sięga i obejmuje wszystkie dziedziny życia kulturalnego. A wtedy spadku twórczego nie zdobędą endecy, konserwatyści i różnego rodzaju mistycy; on się słusznie należy tylko tym, którzy walczą o nowy porządek.

W tym właśnie celu będziemy dawać w „Sygnałach" fragmenty dzieł pisarzy, będziemy ukazywać ich właściwe oblicze, będziemy odkrywać twórców zapomnianych lub mało znanych, a wreszcie — będziemy dawać sylwetki dawnych pisarzy i działaczy postępowych, demokratycznych, ludowych, rewolucyjnych i socjalistycznych.

Zaczynamy od największego nowoczesnego pisarza polskiego — Stanisława Brzozowskiego.

Karol Kuryluk

KOMUNIKAT

W ramach „Dni Kultury Robotniczej" w Krakowie odbyła się dnia 24 czerwca Konferencja Literatów i Artystów Lewicowych, zorganizowana przez Krakowski Legjon Młodych. Konferencja zgromadziła około 40 osób. Między innymi w Konferencji wzięli udział: Leon Kruczkowski, Lech Piwowar, Andrzej Wolica, Wojciech Skuza, Emil Schinagel, Czerwiński, Daszewski, Marja Żeromska, J. Wit i i. Na Konferencji ponadto byli przedstawiciele szeregu pism literacko-artystycznych i społecznych, jak: „Oblicze Dnia", „Karta", „Lewy Tor", „Lewar", „Nowy Ustrój", „Nowa Wieś", „Chłopskie Jutro".

Z ramienia T. U. R. — a uczestniczyli: dr. Adam Próchnik, Kazimierz Czapiński, Adam Ciołkosz.

Na wstępie uczestnicy przez powstanie uczcili śmierć Maksyma Gorkija. W dalszym ciągu, po omówieniu celu i charakteru Konferencji, rozwinęła się ożywiona dyskusja w sprawach literacko-artystycznych, oraz w kwestji udziału i związku pisarzy lewicowych z klasowym ruchem robotniczym. Konferencja podkreśliła wagę wzajemnego porozumienia się, ustalenia wspólnej taktyki i stwierdziła realizację wspólnego frontu pisarzy antyfaszystowskich, którego manifestacją był uprzednio Zjazd Pracowników Kultury we Lwowie.

Po dyskusji ustalono — z uwagi na konieczność stałego wzajemnego kontaktu — termin następnej konferencji, postanowiono zwołać konferencję redakcji czasopism lewicowych w lipcu, oraz zgłoszono, jako sprawę, przybierającą już realne kształty, założenie pisma literacko-społecznego, będącego wyrazem grupy literatów krakowsko-zagłębiowskich.

POECI UKRAIŃSCY
W PRZEKŁADACH TADEUSZA HOLLENDERA

MICHAŁ DRAJCHMARA

Jak chustka w pasy...

M. CHWYLOWEMU

*Jak chustka w pasy — długie łany,
A z niskich dolin, z równych grzęd
Płynie woń liści konopianych,
Wyschłych piołunów, traw i mięt.*

*Samotny żuraw smutnej studni
Nad pustem polem smętnie tkwi,
A słońce macza w blask południ
Złocistotkane płótno dni.*

*Jak wół powoli dzień się zgina,
Zmęczony ptak gdzieś w cieniu legł.
Kiedyż zadzwoni tu maszyna,
Zwiastując elektryczny wiek?*

DYMITR FALKIWSKI

Na sążeń wykopali jamę

*Na sążeń wykopali jamę
I w ziemię buch, za trupem trup,
Do góry kładli tych głowami,
Tym znów sterczały końce stóp...*

*Na warstwie warstwa — i mogiła:
Pięćset ich... sześćset... jeden bies.
Winem na wieki napoiła
Śmierć niema, słodki niosąc kres.*

*Gdy już ostatnią warstwę słali,
Płaszcze i piach zrzucili w dół.
Śpią bohaterzy z Kalewali,
Synowie obszarpanych pól.*

*I wszystko... Sennie i powoli
Grabarze wokół siedli w rząd,
Machorkę wyciągnęli z cholew
I uroczyście dym się prządł...*

*A potem bagnet ktoś odczepił
I w ziemię ostrze wepchnął hen,
I napis na szerokim stepie:
„Tu leżą strzelcy... pułk N. N.“*

JERZY JANOWSKI

DEDYKACJA

*Sokoły wysokie trącały obłoki,
A goście na morza wpływali szerokie
I żagiel, — żagiel w oddalach gdzieś blakł.*

*Wydąwszy pierś białą szła fregat wyprawa,
A księżyc nad morzem jak szyldwach wystawał
I warty sprawował czy wolny mórz szlak.*

*Wędrownej miłości wesołe godziny,
Na statku brzęk zbroic i leje się wino,
Jak końskie parskanie plusk fali brzmiał tak.*

*Wydąwszy pierś białą szła fregat wyprawa,
A księżyc nad morzem jak szyldwach wystawał
I warty sprawował czy wolny mórz szlak.*

*Na statku miłosnych wir mocnych uścisków,
Na statku, idącym, jak białe zjawisko,
Z gwiazdami na masztach jak świecznik i ptak!...*

*Wydąwszy pierś białą szła fregat wyprawa,
A księżyc nad morzem jak szyldwach wystawał
I warty sprawował czy wolny mórz szlak.*

WŁODZIMIERZ SOSIURA

Gdziekolwiek poszedłbym...

*Gdziekolwiek poszedłbym, śnić mi się będą trawy,
I poza Dońcem gdzieś płaczący szumnie las,
Gdzie w miasto biła woń, z akacyj wiew słodkawy,
Spłakaną w oknie twarz ostatni widzę raz.*

*I śnią się, śnią się wciąż dalekie ciemne oczy,
Milczące, smutne i w jesienną płyną dal,
A twarz jak kiedyś znów łagodny wiatr łaskocze
I macierzanki woń płynie wśród wietrznych fal.*

*A Horoszycha jak, ta wdowa, jeszcze żywa,
Więc zastrzelony syn jej Fedka, alež jak?
Toż kwaśne jabłka w noc czy raz z nim szedłem zrywać,
Gdy łkały sowy i stepowy szumiał krzak.*

*Za Dońcem jeżyn krzew... O, miły Chołodenko,
Daleki bracie mój, coś zarąbany padł...
Nieszczęsna matka już nie schyli główki miękko
Nad młodem ciałem twem, świeżem jak młody kwiat.*

*Gdziekolwiek poszedłbym, śnić mi się będą trawy,
I poza Dońcem gdzieś płaczący szumnie las,
Gdzie w miasto biła woń, z akacyj wiew słodkawy,
Spłakaną w oknie twarz ostatni widzę raz...*

NATALJA ZABIŁA

CHARKÓW

*Z góry do pracy przechodzę codzień
Mostem przez biały wilgotny dym,
Gdzie niżej błyska się i rozchodzi
Wężowa gęstwa drutów i szyn.*

*Gdzie niżej czarne ogniste konie
Bruk niecierpliwie kopytami rwą,
Stepowy, wolny wicher w pogoni
W tych murach szarych dzikość gubi złą.*

*Tam dalej znów bez kraju i końca
W dymach — kominów, dachów, dzwonnic splot...
Ptaki na czarnych skrzydłach wiszące
Przez czarne dymy w ciężki płyną lot.
Rwie potokiem wśród wstrząsów i drżeń.*

*A ulice jak rynny, gdzie życie
Gdy tak idę — jak wszystko pochwyci
I mnie miasto. Praca. Zwykłość. Dzień.*

*Mrok zapada i pod nogi wbiega —
Wracam z pracy zmęczona co dnia.
Gdy odwracam się — niema niczego:
Sen koronki tylko z ogni tka.*

*Ktoś rozwinął w nocy kawał nieba
Nad kominy i dachy jak tren,
Nad gwiazdami — trzeba czy nie trzeba
I tam, w mieście, i ponad niem, hen...*

*I wspominam wtedy wiersz Tyczyny:
Charków... Charków... Pamiętam ten wiersz —
...Wytarł pot... i zgiął się nad maszyną...
Nie drgnie nawet wyprężona pierś...*

SAWA HOŁOWANIWSKI

MOJEMU DRUHOWI

Ł. PERWOMAJSKIEMU

*Co noc,
Gdzie żółta głąb Zbrucza
u wód
stawało tam razem
pierś z piersią nas dwu.*

*I w spiekí
i w chłody
i w boju czas zły
my obaj na straży
kraju strzegliśmy!*

*Jak brat, druh tyś stał,
jak brat przy mnieś stał,
i mnie na wyszczerzone
wiodłeś zęby dział.*

*Od konia, co rwie
w niebezpieczny bieg,
tyś serca i mnie
jak naboju strzegł.*

*O, gdybym mógł wgórę
most zwieść,
wdziać cię jak zbroję hartowną
na pierś,*

*O, gdybym posterunki wysokie
mógł zwieść
i z tobą,
i z tobą
wysoko
się wznieść.*

Przekłady wyjęte są z przygotowanej do druku antologji współczesnej poezji ukraińskiej, która obejmie poetów Ukrainy Radzieckiej, piszących w Polsce, poetów Zakarpacia i Emigracji. Antologia ukaże się w najbliższych miesiącach p. t.: „50-ciu z tej i tamtej strony Zbrucza“.

JÓZEF JERZY TYGAL

„ŚCIELĄC SIĘ U STÓP...“

Często zdarza mi się dyskutować na tematy t. zw. światopoglądowe, na tematy związane z takiem czy innem ustosunkowaniem się do pewnej idei. Naturalnie, że dyskusję prowadzę z ludźmi o przekonaniach krańcowo - przeciwnych. Ciągnie się ona zazwyczaj kilka godzin, druzgocące nieraz argumenty padają gęsto a widocznego rezultatu niema. Ani ja nie przekonałem przeciwników, ani żaden z nich nie zdołał na długo zachwiać mojemi prawdami. Co więcej, w takim wypadku wydaje się nawet, że obie strony wychodzą z pojedynku bardziej jeszcze umocnione w swoich dotychczasowych poglądach.

Opowiadał mi niedawno pewien wysoce inteligentny student, że swego czasu miał okazję wieść spór ze swoim kolegą, katolikiem raczej z tradycji niż z przekonania, on, który skłaniał się do ateizmu. Kolega ów przyjął na siebie rolę apologety, podczas gdy mój znajomy atakował religję i kościół. Rezultat był taki, że mój znajomy w trakcie wyszukiwania argumentów na poparcie swego stanowiska stał się zupełnym ateistą, a drugi z nich dzięki analogicznej sytuacji jest dzisiaj katolikiem, odznaczającym się wielką żarliwością religijną, bierze nawet udział w młodym ruchu katolickim.

To samo można zauważyć w wielu dyskusjach prasowych. Sądzę, że przynoszą one korzyść stronom bezpośrednio niezainteresowanym. Dyskutanci sami wychodzą z nich nieprzekonani, nie zdarza się, ażeby ktoś z nich przyznał w zasadniczych kwestjach dyskusji rację przeciwnikowi, a własne rozumowanie uznał za nielogiczne.

Zjawisko to tłumaczy się odmiennością struktur psychicznych poszczególnych jednostek, ewentualnie istnieniem w naszej umysłowości przejściowych nieraz dyspozycyj, które każą nam w ten a nie inny sposób ustosunkowywać się do pewnych zagadnień. Nie chodzi mi naturalnie o ludzi pozostających pod dziedzicznemi wpływami odrębnych grup społecznych, zrozumiałe jest bowiem, że ich interesy z natury rzeczy muszą być różne. Myślę o takich, których położenie materjalne jest mniej więcej jednakowe, pochodzą bowiem niejednokrotnie z tej samej klasy społecznej.

Wykluczam również jednostki, które stosunek swój do pewnej idei uzależniają od tego czy przyniesie im to korzyść materjalną lub jakąś inną.

W artykule swoim „Baryka przed marszem“ („Sygnały“ nr. 17) nadmieniłem, że największa część byłych współpracowników sanacyjnego pisma młodzieżowego „Kuźnia Młodych“, znalazła się dzisiaj pod sztandarami lewicy. Tendencyjne jednakże byłoby twierdzenie, że znaleźli się pod niemi wszyscy, albo że ci, którzy poszli gdzieindziej są od swoich niedawnych kolegów mniej inteligentni, czy też mniej wartościowi (przynajmniej niektórzy z nich). Warto, sądzę — jeszcze raz w tej sprawie zabrać głos.

Henryk Huzik i Wojciech Żukrowski, obaj znani już z łamów wielu poważnych organów prasy literackiej, zostali ostatnio współpracownikami katolickiego tygodnika literacko - społecznego „Kultura“. Wiem, że żadnego z nich zapewne nie przekonam, ani z obranej drogi odwiodę, wiem że nie dowiodę Żukrowskiemu, iż nieprawdą są jego zdania, że katolicyzm to „trudny przepis dla mocnych ludzi“, że „Kościół nigdy nie przeszkadzał żadnym przemianom“ i t. p., a jednak chciałbym na ten temat kilka słów powiedzieć.

„Trudny przepis dla mocnych ludzi...“ Czytałem niedawno sprawozdanie ze zjazdu młodzieży katolickiej w Warszawie. Zjazd ten wystosował do papieża depeszę w której, między innemi uderzyło mnie takie powiedzenie: „Pięć tysięcy polskiej młodzieży katolickiej... ścieląc się u stóp Waszej Świętobliwości, wyraża najgłębszą wierność i t. d.“. Tysiące polskiej młodzieży wyraża najgłębszą wierność papieżowi, ścieląc się u jego stóp... I to właśnie ci mocni ludzie. Przyznam, że podobnych temu zwrotów nie mogę czytać bez głębokiego wewnętrznego obrzydzenia. Takie poniżanie, nieomal upadlanie się nie licuje z godnością nietylko mocnego człowieka, ale wogóle człowieka.

Przyznam, że dla wielu młodych współpracowników „Kultury“ mam wiele... współczucia. Mówi się tam (pod protektoratem prymasa Hlonda) o sprawiedliwości społecznej, o koniecznej dla osiągnięcia tego celu współpracy niewierzących z chrześcijanami, przypomina się słowa św. Tomasza z Akwinu, że „ktoby wziął drugiemu rzecz, którą ten ma w nadmiarze, nie grzeszy“ i t. p. Czy ludzie ci, którzy naprawdę w to wierzą, nie widzą, że dzisiaj, gdy kościół jest przecież jedynie żałosną parodją zasad Chrystusa, gdy pozostaje on na usługach „możnych tego świata“, zamierzenia podobne musiałyby przyjąć charakter antywatykański i wogóle antyklerykalny? Że nikt z protektorów „Kultury“ zdań takich na serjo nie bierze, że to wszystko jest jedynie na pokaz? I jeżeli ludzie ci niejednokrotnie mówią w stronę socjalizmu, że jest on utopją, to czy ich idealistyczne założenia o przebudowaniu społeczeństwa w duchu chrystusowym nie są utopją stokroć większą?

Młodzi katolicy, sądząc po utworach nie są jednak zbyt pewni swego stanowiska. W wierszu „Rzeczywi-

HALINA KRAHELSKA

JEGO OJCZYZNA

Fragment powieści na tle stosunków współczesnych

Dyrektor fabryki „Szpilka", Bronisław Baczyński, był zupełnie przeciętnym dyrektorem zakładu przemysłowego. Podług ustalonej naogół w tem środowisku hierarchji zainteresowań obchodziła go przedewszystkiem własna kieszeń, ambicja i karjera, potem — interes firmy, bo wiązał się ściśle z jego powodzeniem osobistem, a na końcu, oczywiście warunkowo — ojczyzna. Oczywiście warunkowo, o tyle o ile, gdyż pan Baczyński był już człowiekiem starszym, dopędzał pięćdziesiątki i miał czas już nieraz zmieniać stosunek do tak zwanej ojczyzny. Przed wojną, jako inżynier z rosyjskiej szkoły, zarabiał świetnie w Zagłębiu Donieckiem i wtedy imperjum rosyjskie było jego ojczyzną. Wprawdzie w domu (jego rodziców i później jego własnym) mówiono tylko po polsku (gdy byli sami) i w każdem z miast imperjum nawiązywano stosunki przedewszystkiem z kolonją polską. Polityczna zaś orjentacja Baczyńskiego (stronnictwo narodowo-demokratyczne) ułatwiała zachowywanie tej polskości z jednoczesnem uznawaniem tej drugiej, widomej, naprawdę istniejącej ojczyzny — Rosji. Polska — owszem, mawiano o niej: ale to był już przecie, gdy się wyzwolić od niepotrzebnego romantyzmu, tylko lamus drogich pamiątek! Pan Baczyński potępiał też — razem ze swem stronnictwem — „szaleńcze mrzonki", „źródła narodowej klęski", któremi to nazwami pokrywał zarówno wspomnienia historji powstań, jak i nowe pasmo szaleńczych wyczynów — organizację nowej siły zbrojnej polskiej w postaci związków: walki czynnej, strzeleckiego, Legjonów, P. O. W. Szczególną zaś nienawiścią ział pan Baczyński (nawet jako człowiek jeszcze bardzo młody) do okresu rewolucyjnych. bojowych wyczynów Józefa Piłsudskiego i Polskiej Partji Socjalistycznej. Kiedy zdarzało mu się wyczytać w gazetach wiadomość o straceniu z wyroku sądowego, czasem zaś — o rozstrzelaniu przez policję na ulicy którego z bojowców, mimowoli zaciskał pięści i szeptał do siebie: „A la bonne heure! A la bonne heure!!! Dobrze im tak! Buntownicy! Socjały przeklęte!" — W kolonji polskiej w Odesie, Kijowie czy Rostowie, wszędzie gdzie mu się zdarzało przebywać — manifestował chętnie swoją orjentację. A że miał ostry temperament, więc dostawało się nieraz takiej panience lub studentowi, którzy zbierali n. p. na walkę z lokautem łódzkim w latach 1905—8, na ofiary po poległych na manifestacjach w Królestwie, a potem — na umundurowanie oddziałów, i t. p. „Nie daję" — odrzucał ostro — „i piętnuję! potępiam!! Tak, będę krzyczał, że szaleństwo, nowa dywersja, nowe nieszczęście narodowe!!" — Nieraz też miewał na tem tle utarczki ze zwolennikami czynnej walki o narodową niepodległość. — Rewolucja rosyjska w r. 1917 wyprowadziła pana Baczyńskiego z fazy umiłowania rosyjskiej ojczyzny. Spoczątku wspomagał czynnie (pieniądzmi) wszelkie białe formacje i żywił nadzieje, że to „tałałajstwo zetrą z oblicza ziemi" (dosłowny przekład z rosyjskiego: „sotrut s lica ziemli"), ale w okresie, gdy mu zachorowała jego willa pod Odesą, gdy zaniemógł i nawet zmarł majątek w Połtawszczyźnie, Baczyński zaczął likwidować, jak się dało, swój dorobek życia w rosyjskiej ojczyźnie i „wyemigrował" do tej drugiej ojczyzny: ex-lamusa, nieprawdopodobnym sposobem ożywionego z niebytu. I tu przeżył Baczyński okres bardzo przykry, bo choć rosyjską ojczyznę utracił, — polskiej nie mógł jednak uznać. To bowiem, co widział teraz w Polsce, napawało go najwyższem oburzeniem i wstrętem! Gloryfikacja, tryumfalny wjazd, powszechne uznanie zasług człowieka, który był niewątpliwie hersztem i duszą tamtych, czerwonych bojówek, potem zaś — szaleńczych oddziałów smarkaterji... Nietylko nie zgadzało się to z najgłębszemi przekonaniami pana Baczyńskiego, ale poprostu — wykluczało możność przyjęcia takiej ojczyzny. Potem — „hańba rządów Moraczewskiego", zjazdy chłopstwa, rady robotnicze — koniec świata!

Baczyński nie uznał tej ojczyzny i przez dłuższy czas był człowiekiem bez żadnej ojczyzny. Założył sobie tymczasem biuro techniczne w Warszawie i niedługo zaczął w tym nieprawdopodobnym kraju nienajgorzej zarabiać.

Ale przez szereg jeszcze lat Baczyński nie mógł (choć chciał!) przywiązać się do tej ojczyzny. Ustąpił przecie rychło Moraczewski, Daszyński; przychodził Paderewski, Witos, Sikorski; Baczyński widział u władzy własne stronnictwo polityczne: jednak nic, prócz zarabiania pieniędzy, nie dogadzało mu w Polsce. Nic mu nie pachniało. Wszystko było jakoś zupełnie inne od wyobrażeń o ewentualnej (nieprawdopodobnej zresztą) restauracji lamusa, jeżeli ją sobie kiedy w Rosji wyobrażał. Zasadniczo wstręt do Polski wynikał stąd, że nie czuł się tu — sam nie wiedział dlaczego! — całkiem pewnie; nawet taki strzał Niewiadomskiego, któremu oczywiście współczuł, budził jednak w nim rodzaj niepokoju.

„A gdyby tak odwet?"

No, a cóż dopiero dni krakowskie w r. 1923: wizja „czerwonego", robotniczego Krakowa! Baczyński miał synowca, akademika, który w dniach tych był właśnie w Krakowie. Młodzieniec ten na całe już życie zachował nienawiść do proletarjatu, gdyż twierdził, że w dniach tych, gdy robotnicy walczyli na ulicach, spacery jego po mieście w białych getrach nie były przez nich mile widziane: zatrzymano go raz i kazano mu przestać pętać się pod nogami, gdy idzie rozgrywka o życie. Podobny uraz miał stale Baczyński w stosunku do Polski, jakkolwiek obserwował przecie budowę państwa kapitalistycznego, z zachowaną faktycznie stanową hierarchją.

Kulminacyjny punkt obrzydzenia do polskiej ojczyzny, zupełnego odwrócenia się od niej przeżywał Baczyński w dniach przewrotu majowego w r. 1926. Odcięty od terenów walk ulicznych w spokojnym Mokotowie, siedział jak trusia w dostatniej willi, nic nie wiedząc; ale przez cały dzień z przestrachem patrzył na chorągiew zamku Belwederskiego: czy nie ustąpi Wojciechowski przed rebelją, bolszewickim buntem, przed drabami, których na latarnię!! I oto przyszedł pewnego wieczoru moment, kiedy ulice Mokotowa zaroiły się od robotniczych postaci z czerwonemi opaskami na ramionach, z karabinami w rękach; postaci te, jak pierwsze jaskółki na wiosnę, sygnalizowały zwycięstwo Piłsudskiego: to robotnicza milicja P. P. S. przed wejściem zwycięskich oddziałów wojsk na Mokotów, badała i zajmowała dzielnicę. Szarpnął, otworzył okno: minę miał tak wściekłą i rozjuszoną, że młody robotnik, który przechodził właśnie pod kamienicą, zaśmiał się i dla żartu wymierzył w jego okno lufe karabinu. Baczyński zamknął pośpiesznie okno, padł na krzesło przy stole i uronił głowę na ręce, szlochając z żalu i złości, jak dziecko. „Bandyci"! — wył — „bandyci, ścierwo, psia krew!! Koniec! Koniec! Uciekamy!! Nie przeżyję już tego więcej!!" —

W tych pamiętnych chwilach Baczyński był też na przedmieściu tym prawdziwym wyjątkiem, który klaskał entuzjastycznie generałowi Zagórskiemu za strzelanie z samolotu do robotnic, stojących w ogonku przed sklepem żywnościowym przy zbiegu ulic Puławskiej i Narbutta. Zdarzyło się to nazajutrz po wkroczeniu wojsk do Mokotowa, o godzinie dziewiątej rano: samolot opuścił się tak nisko, że widziano generała Zagórskiego, jak wprawiał w ruch karabin maszynowy. Baczyński skakał przed oknem z zachwytu i bił brawo: „Rycerz!" — wołał: „Bohater!! Zbawca honoru!!" Kiedy zaś podnoszono zabitą kobietę i robotnicy, zaciskając pięści, biegli do miejsca wypadku, Baczyński syczał: „Dobrze jej tak! Dobrze! spewnością bolszewiczka, jak oni wszyscy!!"

Po tych wypadkach, w ciągu roku, dwóch, nie miał Baczyński żadnej ojczyzny; zdecydowanie nie. Zarabiał wciąż nienajgorzej, ale przemyśliwał o wyjeździe i ciułał sobie potrosze pieniądze w zagranicznym banku. Dopiero w r. 1929 zdarzył się w życiu Baczyńskiego epokowy przewrót. Oto odzyskał ojczyznę!

Stało się to tak. Późną jesienią zjawił się u niego synowiec (ów obiecujący młodzieniec w białych getrach) i po dłuższem opowiadaniu o własnem życiu i własnych zdobyczach oznajmił Baczyńskiemu, że oto teraz ojczyzna go potrzebuje i że przychodzi (zapewne w osobie synowca) pozyskać go dla pracy „społecznej". Wyłożył mu zasady solidaryzmu społecznego, scharakteryzował i zanalizował rolę, udział i widoki różnych klas społecznych w budowie aktualnej rzeczywistości polskiej, udowodnił konieczność współpracy z rządem tak zwanych „sfer gospodarczych". Odmalował oczywiście dość plastycznie niewątpliwe zdobycze i wygody, jakie wynikną dla tych sfer z tej współpracy. Okazało się, że synowiec już był czynnym działaczem B. B. W. R. w stolicy. Proponował Baczyńskiemu zbliżyć się za jego pośrednictwem do wybitniejszych działaczy tej orjentacji w przemyśle, obiecał zapoznać go z paroma wyższymi urzędnikami gospodarczych resortów i umówił się wprowadzić go w najbliższych dniach na brydża do jednego z eksponowanych w tem ugrupowaniu ludzi.

Baczyński od pewnego czasu miał już własne refleksje, zbliżające go cokolwiek do ojczyzny, ale jednak miał jeszcze dużo obaw i wątpliwości, zadał więc synowcowi pytania:

„No, dobrze, mój drogi! Wiem przecie, że to jest dyktatura! Zapewne bliższe mi to jest, niż rządy robotniczo-włościańskiej! Ale powiedz ty mi, czy Jemu naprawdę można wierzyć? Życie Jego, to całe życie nie budzi zaufania, rozumiesz! A i teraz, ten maj: te sankiuloty popierały Go! A Zagórskiego pamiętasz?... Czy aby można wierzyć panu Piłsudskiemu, że nagle nie skręci do socjalizmu?"

Synowiec energicznie rozwiał te wątpliwości. Dawne sprawy nie mają znaczenia. Mussolini był też dawniej socjalistą, a jednak zadał śmiertelny cios światowemu socjalizmowi. Zresztą — czem się ryzykuje?! Trzeba spróbować: im więcej ludzi dobrze myślących skupi się koło rządu, tem pewniejsze utrzymanie status quo i większa możność przeciwdziałania destrukcyjnym prądom. Dorzucił też praktycznych argumentów, proponując Baczyńskiemu rozszerzenie jego dotychczasowej „gospodarczej" płaszczyzny działania. W końcu Baczyński dał się namówić. Pomiędzy owym pierwszym brydżem a objęciem zarządu w fabryce „Szpilka" minęło blisko siedem długich (i tłustych dla Baczyńskiego) lat, urozmaiconych powodzeniem w interesach, imponującym rozwojem stosunków towarzyskich w „miarodajnych sferach", nabyciem kilku „objektów": willi w Gdyni, willi w Krynicy, mająteczku w Kieleckiem. W miarę posuwania się po tych szczeblach majątku i karjery, uczucia Baczyńskiego dla polskiej ojczyzny nabierały coraz większej rzewności, coraz gorętszej temperatury i natężenia. Powstał nawet w nim jakiś stan złożony, mieszany z dumy, zapału i zadowolenia, że służy tak wybitnie ojczyźnie.

„Nietylko Polakiem trzeba być" — mawiał teraz — „ale dobrym Polakiem!"

---

stość" Żukrowski pisze: „Trudno matkom dzieci usypiać, jakże nam młodym zasnąć, toczą się koła historji, skrzypiąc w przyszłość jak północ niejasną". Jeżeli ktoś mocno wierzy w swoją ideę, przyszłość dla niego jest jasna. Mogę Żukrowskiego zapewnić, że n. p. dla mnie jest ona zupełnie jasna.

Rozmawiałem niejednokrotnie z Huzikiem. Zastanawiało mnie, jak można od radykalnych nowel, artykułów i wierszy przejść do opiewania Boga, krzyża, Chrystusa i to właśnie dzisiaj w dobie ogromnego napięcia sytuacji wewnętrznej kraju, w dobie masowych porywów kończących się zazwyczaj krwawo. Sądzę jednak, że Huzik w katolickim obozie niedługo zabawi, albo może cała ta sprawa znajdzie smutny epilog. Przekonałem się również, że wybujały pesymizm, niemożność silnego uwierzenia w coś, jest defektem psychicznym bardzo wielkim.

Podtrzymując słuszność zdań wygłoszonych na wstępie, zdaję sobie sprawę, że garść tych uwag nie przyczyni się zapewne do przekonania moich przeciwników o nieżyciowości ich stanowiska. Może z czasem sami przekonają się o tem namacalnie.

Wyrażam jednak wątpliwość, czy naprawdę są oni tak pewni swej doktryny jak dziesiątki tych, którzy dzisiaj ryzykują szkołę, przekreślają swoje zamiary na przyszłość, a raczej przekreśla je wyrok sądowy opiewający na 3, 5, 8, 10, 12 lat więzienia...

W pięknej książce Andrzeja Struga „Dzieje jednego pocisku" jest dyskusja między dwoma przeciwnikami ideowymi. Ciągnie się ona długo, bez rezultatu, wreszcie jeden z nich zniechęcony mówi:

„Są ludzie i poglądy, które muszą sobie pozostać obce: dla mnie czarno, a dla ciebie biało — tobie dobrze, mnie źle. Najlepiej jest, jak jest: my sobie, wy sobie — a z tego wszystkiego coś dopiero wyniknie. Historja nas kiedyś rozsądzi, ale my nie mamy sobie nic do powiedzenia. Dosyć! — Dosyć! Powiem tylko jedno słowo. Powiem poprostu, bo dla mnie to jest sprawa własna, bo za to i choćby za to jedno ja gotów jestem zginąć bez żadnego żalu i zawodu. Dla mnie tu nie może być zawodów! To moja prawda!"

Sądzę, że w podobny sposób nie mogliby przemawiać ludzie z katolicko-nacjonalistycznego obozu.

Józef Jerzy Tygal

BOGDAN GRZYMAŁA-KAMODZIŃSKI

STRACH

Jarząc i płonąc głową rozwianą
Włosami zjeżą, zdarzą się dnie.
O strachu głuchy z twarzą nalaną,
Trzcinami gwiżdże mój gniew, mój gniew!

Bryznie ci wodo jak łzami w oczy
Żal, co się ostry wznosi i trwa.
Jarząc się głowa twoja potoczy,
Nienaturalna twoja twarz.

W głębi rozniesie korytarzami
Echo ruchliwe mój gniew, mój słuch,
Stanie oknami, wstanie zorzami
Niebo gryzące jak oczy ług.

W głuchą, w topieli zgorzałą zorzę
Ruń utopiony! Gwizdami trzcin
Dzień cię zakończy. Ten dzień zostrożna
Będzie odmienny od strasznych dni.

JÓZEF REICHLER

POWRÓT

głuche widziadła,
ślepe odsłuchy —
błękitne tratwy
martwych powrotów —
ból burych zmierzchów
wiersze niciane —
przeklęty pająk
we własnych pętach —
obraz z lazuru,
którym wykwitłem
w cynizm przetrwania
ciężkiego: nie czynić —
potem powrócić —
wypełzły motyl
tam, — skąd nie wyszedł
w ciszę zapomnień...
gwiazdom wytartym
w szablon conocny
rzucam na pastwę
wygięty w kabłąk
kołowrót szału —
. . . .
...siebie i.... powrót...

DON FERNANDO

Stare Angielki zachwycają się Somerset'em Maugham'em*) jako autorem sztuk scenicznych. Dodają z uśmiechem olbrzymie sumy honorarjów. Sumy są imponujące, sztuki w czytaniu nieciekawe.

Autobiograficzna powieść „The human bondage", od której zaczął karjerę pisarską, wiele lat czekała na uznanie, aż wreszcie wybuchła prawdziwa epidemja coraz to nowych wydań.

Somerset Maugham jest ogólnie znany jako autor nowel kolonjalnych. Naogół czytelnicy a nawet pisarze uważają nowelę za pośledniejszy gatunek literacki i jakoby łatwiejszy. Często pierwsze próby pisarskie są nowelami, powiedzmy złemi nowelami. Niewielu bowiem rodzi się nowelistów. Jest to rodzaj literacki, który wymaga wielkiej trzeźwości, oszczędności środków, surowości w przestrzeganiu proporcji. Można powiedzieć, że właśnie nowela jest bardziej artystycznym rodzajem niż powieść. Powieść powolnem narastaniem atmosfery przekona i pozyska czytelnika. Nowela może tylko zaskoczyć, poddać, zasugerować, resztę musi dopowiedzieć sam czytelnik. Wymaga od czytelnika więcej niż powieść, dlatego tak niewielu ludzi lubi czytać nowele.

Wykształcenie lekarskie, ułomność, spóźnione powodzenie, liczne i dalekie podróże, praca w wywiadzie angielskim w czasie wojny, ogromny sukces teatralny i wielki dostatek, kontakt z ludźmi różnych warstw i ras, wreszcie mizantropja, samotność i niezmiernie rozległa lektura pokazały Maugham'owi różnopostaciowość form życia i wytworzyły w nim objektywizm nieco gorzki.

Krytycy angielscy nazywają go najbardziej francuskim z pisarzy angielskich, jest on niewątpliwie jednym z najmniej społecznych.

Renan uważał, że po wysiłku klasyków i romantyków jedyną dziedziną otwartą do wykorzystania dla pisarzy będzie erudycja. Gramatyści zawsze przychodzą na końcu. Porządkują. Renan nie przewidział innych, ciekawszych możliwości i szukał analogji do starożytności, ale dla wielu pisarzy końcowe stadjum pracy pisarskiej to właśnie owa gramatystyczność, porządkowanie, scholja.

Ostatnie dwie książki, które z gruba możnaby nazwać podróżą artystyczną („The gentelman in the armchair") i artystyczną historją („Don Fernando") są także rozprawą autora z recenzentami i krytykami. Rozprawą bardzo pośrednią, pełną insynuacyj. Maugham nie chce być uważany tylko za sławnego autora sztuk, nowel, powieści, broni siebie jako pisarza świadomego, klasycznego, nie akademickiego. Trudno stawiać noty autorom. Najgodziwiej jest, jak to w starych komedjach prosili autorowie, przyklasnąć, jeśli nas bawi to, co autor opowiada. A Maugham'a olimpijskie repliki różnym krytykom, którzy mu dokuczyli, bawią, zwłaszcza, że wynikają z innej treści, rzucane są niby przypadkiem, z wielkiej wysokości, ale celnie.

Oto kilka uwag autora „na stronie". — „Pisać prosto jest tak trudno jak być dobrym. — Z zasady pisarz amator jest retoryczny, nie może powiedzieć żadnej sprawy wprost. — Trzy najważniejsze składniki dobrego pisania to jasność, eufoniczność i prostota.., a można je uzyskać przez wytężone zaprawianie się i skupioną pracę. — Pisanie musi być nietylko głównem, ale jedynem zajęciem całego życia. — Talent... składa się z dwu rzeczy. Z naturalnej skłonności do tworzenia, która do pewnego stopnia jest wspólna wszystkim młodym ludziom. Niezliczeni młodzi ludzie mają łatwość pióra, są świetnymi autorami listów, zapisują tomiska dzienników; jeśli zdolność tę posiadają w wybitnym stopniu, ale nie mają przy tem nic innego, stają się dziennikarzami, krytykami, profesorami literatury i tym podobnie. To drugie zaś to widzenie życia właściwe im tylko. Jeśli te dwie właściwości się łączą wtedy pozostaje talent".

Świadomość tworzenia, skupienia wysiłku, ogromna praca erudycyjna, usunięcie się autora w cień przy podawaniu faktów, śmiałość hipotez, oświetlanie najróżniejszych cech hiszpańskiego życia, najgorszych i najlepszych jako przejawów geniuszu narodu (nie bez dziwnej jednak tetryczności starej guwernatki, która wie najlepiej: angielska trafność obserwacji i angielskie nierozumienie tego, co jest odmienne) zdumiewa, pozwala poznać obcość, nie odbronzawia, nie plotkuje, nie uprawiedliwia.

— Jest nierozsądnie — mówi — sądzić człowieka jednej epoki standardem moralności drugiej epoki. — Więc nie sądzi. Loyola, Teresa z Avila, El Greco, Louis de Leon, Lope de Vega, twórca don Juana, wielcy nieprzykładni, niewzorowi ale genjalni. Nieuproszczeni, różnorodni i niewygodni.

Somerset Maugham nosił w sobie przez lat czterdzieści miłość do Hiszpanji od czasu, kiedy po raz pierwszy zwiedził Sevillę. Od czterdziestu lat rozczytywał się w autorach hiszpańskich XVI wieku. Zbierał materjał do powieści pikarejskiej, zamiar ten porzucił i dał nowy i dziwny specymen literacki. Mało jest książek, w których autor tak się naraża na zarzuty jak właśnie w „Don Fernandzie". Są sprzeczności (o pisarzach dyletantach n. p. Cerwantes, którego „Don Quixota" uważa za najgenjalniejsze dzieło literatury) charakterystyka El Greco nieprzekonywująca, ale wspaniała sama w sobie.

Cervantes żyjący z pieniędzy dwu sióstr prostytutek i własnej nieślubnej córki prostytutki, łajdak i utracjusz (niema zresztą w języku nowoczesnem słów okreslających te wszystkie beztroskie bezeceństwa, tę pogodę w wiarołomstwie, szanowność w łotrostwach i zabójstwa), prawie nie jest nam zrozumiały, chociaż taki ludzki. Czytając „Don Fernanda" uświadamiamy sobie, że literatura hiszpańska szesnastego wieku jest nam już tak obca, że wymaga scholjów.

Anna Kowalska

*) Maugham czyt.: Moom.

PROHITLEROWSKI ENTUZJASTA

P. Zbigniew Grabowski, współpracownik i korespondent znanego krakowskiego Kurjerka, należy do grona wybrańców fortuny, którzy nie bacząc na kryzys i trudności paszportowe, wesoło i beztrosko wojażują sobie wzdłuż i wszerz po Europie. Tak się jakoś dziwnie składa, że okoliczności (czy też może sympatje osobiste?...), kierują kroki p. Grabowskiego głównie w stronę krajów... faszystowskich. Parę lat temu, nasz wytworny i uroczy globtrotter „bawił" w satrapji p. Mussoliniego i omdlewał wprost z zachwytu w obliczu dobrodziejstw spływających z ręki Duce na lud włoski. W pewnem czasopiśmie literackiem p. Grabowski — pamiętam — opisywał też niezmiernie wzruszająco jakieś „Muzeum męczenników idei faszystowskiej", ufundowane w rocznicę marszu na Rzym; było to o tyle dziwne, że faszyści we Włoszech (tak samo jak gdzieindziej) na „męczenników idei" bynajmniej się nie kwalifikują, być nimi nie potrafią ani nie chcą — i wieniec męczeński wolą wkładać na skronie swych — przeciwników. Po wojnie włosko-abisyńskiej (p. Grabowski wojażował przed wybuchem tego zatargu) może być istotnie mowa o „męczennikach idei faszystowskiej". Ale tym niedobrowolnym męczennikom-chłopom i robotnikom włoskim, poległym i rannym na skwarnych piaskach afrykańskich, p. Mussolini muzeów stawiać nie będzie.. Entuzjazm jednak uskrzydla i dodaje myślom polotu, a sił — wyobraźni: p. Grabowski już parę lat temu oglądał we Włoszech rzeczy, których tam nie było, bo być nie mogły...

Obecnie, twórca sentymentalno-genitalnej ramoty („Cisza lasu"...) przebywa — gdzie?... Oczywiście — w Berlinie, skąd wypisuje sążniste a zachwycone korespondencje do rozkosznego „Ikaca". Kto pamięta podziw i uczucie p. Grabowskiego dla Włoch faszystowskich, tego nie zdziwi płomienny entuzjazm, manifestowany przezeń w listach z Hitlerji. P. Grabowskiego zaliczyć należy do kategorji ludzi, dowcipnie niegdyś przez Nowaczyńskiego ochrzczonych mianem: „cykownicy". W brunatnych Niemczech, w hitlerowskim Berlinie wszystko dosłownie p. Grabowskiego czaruje i zachwyca. To nie jakaś tam, panie dobrodzieju, „żydowsko-marksistowska" republika wejmarska!.. Posłuchajmy tylko.

Jako wykwintny esteta i subtelny znawca sztuki, p. Grabowski — w korespondencji czerwcowej — zaczyna od... kin i atelier filmowych. Radosny podziw wzbudził w p. Grabowskim m. in. fakt, że „w Neubabelsbergu pracuje ekipa francuska, którą (!) nic nie obchodzi Locarno, rząd Bluma czy takie lub inne komeraże polityczne". „Filmowcy francuscy — czytamy dalej — mogą nie kochać filmowców niemieckich, ale są ludźmi interesu... Znam jednak kraj — ubolewa p. Grabwski — gdzie tego rodzaju współpraca filmowa byłaby nie do pomyślenia. Albowiem poglądy polityczne czy rasowe pewnej grupy przedsiębiorców nie pozwalają nawiązywać kontaktu ze światem filmowym niemieckim. To, że możnaby się sporo nauczyć, że Niemcy są dalej wielką szkołą filmu i uczciwego poziomu (!) — o tem zapomina się. Ważniejsza jest bowiem ideologja"...

Naturalnie, p. Zbigniew Grabowski, jako duch wyższy od nas przeciętnych śmiertelników, jako intelektualista, indywidualista i wogóle członek „elity", nie może absolutnie zrozumieć takich błahostek i bagatelek, jak jakieś tam „ideologje" czy „komeraże polityczne". Berlin jest miłem miastem, gwiazdy z Neubabelsbergu uśmiechają się tak czarująco, że p. Grabowski — pełen pogody, optymizmu i pobłażliwej wyniosłości — spokojnie przejść może do porządku nad kwestją „ideologji", zatruwającą (czasem i odbierającą) życie wielu tysiącom ludzi o bardziej... płaskim i pospolitym sposobie myślenia.

Atrakcją pobytu p. Grabowskiego w stolicy światowego faszyzmu są eleganckie bankiety w hotelu „Adlon", zaszczycane obecnością tak dostojnych i zasłużonych mężów, jak Alfred Rosenberg, Himmler i t. p. P. Grabowski nie krępuje się bynajmniej, gdy chodzi o wyrazy sympatji i uznania dla autora „Mitu XX stulecia", czy też dla szefa hitlerowskiej „czerezwyczajki". P. Grabowski jest przecież — jak powiedziałem — wybrańcem losu, wznoszącym się ponad wszelkie „komeraże polityczne". I dlatego właśnie p. Grabowski nic nie wie o tem, że jego sympatyczny współbiesiadnik z hotelu „Adlon" jeszcze parę lat temu nazywał porozumienie z Polską „zdradą stanu i żydowsko-marksistowskim szwindlem" i zalecał wogóle „uprzątnięcie państwa polskiego", jako zapory pomiędzy Berlinem a Kijowem... Korespondent „Ikaca" nic o tem, oczywiście, nie słyszał. Nie słyszał również ani o obozach koncentracyjnych, ani o słynnych „samobójstwach", ani o wypędzaniu uczonych i pisarzy, ani o paleniu książek, ani o nocy 30 czerwca 1934, ani wogóle o tem wszystkiem, co stawia Niemcy hitlerowskie poza nawias cywilizacji współczesnej. P. Grabowski popija z Rosenbergiem i Himmlerem z lekceważeniem spoziera na „ideologje" i — nie suszy sobie pięknie uczesanej głowy — głupstwami. Heil! i — Prosit!

Następna serja zachwytów p. Grabowskiego dotyczy przygotowań do olimpjady berlińskiej. Tu już nasz entuzjasta wali na całego:

„Niemcy czekają na dzień olimpijski, który pozwoli im pokazać światu potęgę swojej (!) organizacji, wielkość budowli, rozmach nowego życia w Trzeciej Rzeszy (podkr. „Ikaca"). Dopiero patrząc na kolos tego miasta-kamienia, stwierdzamy, jakim atutem propagandowym będzie ta polityczna Olimpjada" (podkr. „Ikaca").

Nigdy nie wątpiliśmy, że hitlerowska olimpjada jest przedsięwzięciem czysto politycznem, któremu brunatny faszyzm niemiecki zakreśla cele wybitnie i jawnie propagandowe. Cieszyć się wypada, że osoba w tej materji tak kompetentna jak p. Grabowski te poglądy i mniemania wszystkich ludzi trzeźwych potwierdza, za co mu nawet wdzięczność winniśmy. Entuzjastyczny piewca „nowego życia w Trzeciej Rzeszy pozostanie na długo w naszej pamięci, — zaprotestujemy jednak kategorycznie, gdyby ktoś — z ignorancji czy złej woli — zechciał tegoż piewcę uważać za reprezentanta myśli, uczuć i opinij wszystkich — czy choćby tylko większości — pisarzy polskich. Może tu być bowiem jedynie mowa o nielicznej grupie zawodowych panegirystów i dobrze płatnych trubadurów, wśród których pogarda dla „komeraży politycznych" jest synonimem oportunizmu, sybarytyzmu, duchowej nicości i kompletnego wyjałowienia umysłowego. Ot, — „ludzie interesu" — i kwita.

Bolesław Dudziński

PROWINCJA POETYCZNA

Poematy weszły w modę. Mówi się nawet w związku z tem o renesansie epiki. Kurek, Zagórski, Czuchnowski, Rymkiewicz, Dobrowolski, oto nazwiska młodych poetów, którzy powrócili do tej zaniechanej jak dotychczas formy wypowiedzi poetyckiej. Ostatnio spróbował swych sił na tem polu jeden z najmłodszych poetów Jerzy Pietrkiewicz*). Nie jest to debiut. Pietrkiewicz wydał już poprzednio tomik wierszy p. t.: „Wiersze o dzieciństwie". Autor niedawno zadeklarował się jako wyznawca teoryj zmodernizowanego endeka p. Piaseckiego i odtąd drukuje masowo w „Prosto z mostu". Dziwnem jest, że p. Piasecki, dobry krytyk literacki (patrz tom szkiców p. t.: „Prosto z mostu"), nie przestrzegł młodego poety, lecz patrzył z założonemi rękami, jak ten brnie coraz bardziej w niebezpieczną manierę łatwizn metaforycznych, jak zadłuża się u znanych poetów zarówno skamandrytów, jak awangardzistów (głównie Czechowicz), zamiast poszukiwać własnego wyrazu. Fakt ten należy tłumaczyć zapewne w ten sposób, że „na bezrybiu i rak ryba". Trzeba go pieścić, nie urazić jakąś uwagą, gdyż może zniknąć. P. Piasecki uznał więc poemat Pietrkiewicza za takie arcydzieło, iż nie omieszkał wydrukować go w całości (!) w swoim tygodniku, oraz wydać potem własnym nakładem.

Przejdźmy jednakże do samego poematu. Szkoda, że Pietrkiewicz nie miał na uwadze słusznej maksymy francuskiej: „Każdy kto tylko zabiera się do pisania powinien zapamiętać sobie, że jeżeli chce wyrazić dobrze, iż deszcz pada, to najlepiej zrobi pisząc: deszcz pada". Nie czytalibyśmy wtedy takich zdań, jak: „słowa schylają się przed damskim wzrokiem", „powitanie zdjęte z kapeluszem", „Azor ocierał łeb o mokry dech krowy", „skrzyp żaluzjami pozasuwał okna", „słuch kroki policzył", „ołtarz podniesienie wydzwonił", „ojca sen w poduszce był (!) grubem chrapaniem" i t. p. Wogóle styl poezji Pietrkiewicza, to rekord sztuczności, pretensjonalności i pozy. Gdyby metafory i porównania Pietrkiewicza odpowiadały wymaganiom estetycznym, możnaby mówić nawet o nawrocie do baroku, taka jest ich obfitość. Łatwizny i naiwnostki, dziecinne niemal, spotyka się wśród domniemanych ozdobników stylistycznych co krok. Metafory tworzy Pietrkiewicz według pewnych schematów, n. p. „sołtys pewność oparł łokciem o ladę", „opierał chore piersi o szelest „zdrowaśki", „Panna Basia wsparła serce dziewczęce o tangową pieśń", „echa wspierały melodję tkliwą" i t. p. Przykładów podobnych możnaby namnożyć bodaj na całą kolumnę. Brak poczucia dobrego smaku możemy zauważyć w opisie kolacji, którą autor porównuje do... Mszy św. Od katolika możnaby wymagać większego poszanowania dla ceremonij religijnych.

Tematem poematu jest prowincja; krajobraz i ludzie wsi i małych miasteczek. Krajobrazowi poświęca autor więcej miejsca, ludziom mniej. Nie jest to zarzut, choć od poematu wymagamy już pewnej akcji, której tutaj właściwie niema. Utrudnił to sobie autor przez wprowadzenie zbyt wielu zarówno osób, jak i miejscowości do poematu. Typy chłopskie i małomiasteczkowe nie są u Pietrkiewicza prawdziwe. Wszystkie stworzył on na obraz i podobieństwo własne. Natury noetyczne, egzaltowane, rozmarzone. Kucharka Madzia chce, by ją jesień wybawiła ze smutku, Bolek zaniechał zamiaru zemsty, gdyż zapachniał mu sad i t. d. Wplecione gdzieniegdzie zdania o biedzie chłopskiej, widać, że są traktowane jako konieczny dodatek i na tle zachwytów nad przyrodą brzmią troche ni w pięć ni w dziewięć. Zresztą autor wraz z bohaterami uważa, że najlepszem na to lekarstwem jest płacz.

Jeszcze jedno zastrzeżenie. Jeżeli autor uważał za stosowne kogoś przy końcu poematu uśmiercić, to należało to zrobić ze suchotnikiem Wiśniewskim, albo z księdzem Kocięckim, który przecież „opierał chore piersi", a nie z doktorem, o którym czytelnik miał prawo myśleć, że poza swoją tęsknotą za Rosją jest zdrów jak ryba. Niektóre miejsca są jednak dość ładne (Zaorywano pola na smutek czarnych skib. Leniwo szły pagórki pod senny widnokrąg... i wogóle cała str. 9), jest ich niestety bardzo mało. Ładne są również przejścia pomiędzy poszczególnemi fragmentami, przenoszenie się z jednej miejscowości do drugiej, zapomocą opisu drogi itp.

Na zakończenie należy życzyć poecie, ażeby nie zważając na aplauz swych bliskich w idei, postawił sobie jednak większe rygory poetyckie, gdyż pomimo wszystko wydaje się, że na to go stać.

*) Jerzy Pietrkiewicz, Prowincja, Poemat. Warszawa 1936, nakładem „Prosto z mostu", str. 72.

Andrzej Rudawski

PIERWSZA OGÓLNOKRAJOWA WYSTAWA FOTOGRAFJI ROBOTNICZEJ WE LWOWIE

Związek Zawodowy pracowników fotograficznych we Lwowie organizuje w październiku b. r. pierwszą ogólnokrajową wystawę fotografji robotniczej z okazji trzydziestolecia istnienia organizacji.

Wystawa jest imprezą robotniczą i jubileuszową; celem jej jest zapoczątkowanie fotografji robotniczej w Polsce. Komitet organizacyjny wzywa fotografów zawodowców jak i robotników foto-amatorów do wzięcia udziału w tej wystawie.

W wystawie mogą brać udział fotografowie zawodowcy, robotnicy foto-amatorzy i inteligencja pracująca.

Wystawa obejmie dwa działy: artystyczny i reportażowy:

a) obrazy do działu artystycznego od formatu 18x24 (temat dowolny, w dowolnej technice pozytywnej), winny być naklejane na białym kartonie; na odwrotnej stronie kartonu podać liczbę porządkową, tytuł, nazwisko i adres autora. Ilość obrazów sześć.

b) do działu reportażowego ilość do 12 egzemplarzy, pożądany format od 9x12, również opisany na odwrocie.

c) zawodowi robotnicy fotografowie winni nadsyłać obrazy o czystej technice fotograficznej.

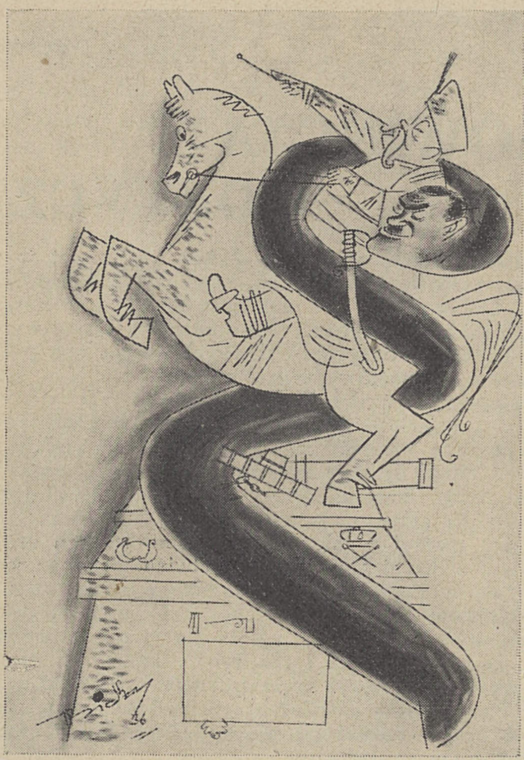
Termin nadsyłania obrazów upływa z dniem 20 IX. 1936 Koszta (wydatki administracyjne i porto zwrotne) wynoszą 2 zł. — nadsyłać można w znaczkach wraz z deklaracją w liście lub z obrazami na adres sekretarza FILIP HABER LWÓW, BEMA 12 a.

Komisja kwalifikacyjna w ocenie wartości obrazu kierować się będzie etyką robotniczą.

Po ukończeniu wystawy obrazy odesłane będą wraz z pamiątkowym katalogiem.

KOLUMNA SATYRY

BOY-ŻELEŃSKI ogłasza cykl essayów o Janie III Sobieskim w „Wiadomościach Literackich"



rys. J. Bickels proj. Mr. Homo

Nowa ofiara Boya Dusiciela...

NAPAŚCI OSOBISTE

NA PEIPERA

Prorokował Adam: czterdzieści i cztery,
śniąc, że Pan Tadeusz zostanie Peiperem —
przesolił 100% drogi wieszcz — do kata —
Tadeusz ma tylko 22 lata.

NA WIKTORA

Chociaż za wikt orzesz mój święty Wiktorze,
nie jest z ciebie żaden Orkan na ugorze —
lepiej — biedaczyno — zostań na podwórku,
i współczuj z K. A. Pstonem, że nie może — kurkom.

NA MORSTINA

Podobno krakowskie poto otrzęsiny
połączono ściśle tak z L. i H-em Morstinem,
bo na dni Krakowa przy obrzędach była
potrzebna beanom jakaś tępa piła.

NA CZUCHNOWSKIEGO

Wcale nie jest trudny żywot redaktora,
któremu cenzura sama pomóc skora,
niepotrzebne nawet pióro i atrament,
gdy się tylko białe redaguje plamy.

J. GOJAN

NA „WIEK NOWY"

Myśl ta mi zatruwa drzemki poobiednie,
Czemu w „Wieku Nowym" przeszłowieczne brednie.

St. J. Lec

NA PIECHALA

(pod „auspicjami" znanego wierszyka)

Marjan z małą figurką,
chociaż lekki jak piórko,
każdego z kim się gniewa
nokautuje — jak Timofiejewa.

Czesław Garda

FRONTEM

Frontem do Loppa! Frontem do chłopa!
Frontem i frontem wciąż każą nam.
— Przepraszam, proszę panów, — a dopa?
A dopę, proszę, gdzie zwrócić mam?

Tadeusz Hollender

EROTYK

Miła, poratuj w potrzebie,
Przyjdź do mnie, a przyjdę do siebie.

St. J. Lec

UWAŻAJCIE NA SYGNAŁY

Niejednego już dzieje na śmierć przejechały,
co jak Słonimski był zawsze ślepy na „Sygnały".

St. J. Lec

Z NARODOWYCH MYŚLI O SZTUCE

Sztuka — to żydowska siejba,
to lucyperowy spadek.
Siał ją jeszcze Bronsztejn Lejba,
a podlewa Chaim (?) Radek.

St. J. Lec

POLSKIE KOLONJE

I

Wiadomo — mocni jesteśmy i młodzi,
kraj żyzny rodzi dość koni i broni,
słowem — mocarstwo, jedna rzecz nam szkodzi:
— Brak nam kolonij!

Innym gujany, indje, abisynje,
banany, negrzy, fermy w patagonji...
Polesie, żydzi, gimnazjum w Charbinie
— to nie kolonje!

A tak się jeden bodaj kokos zdałby,
choć wyspa Becka w pacyfików toni...
— W warszawskiem Zoo hasające małpy
— toż nie kolonje!

Ot, dzieciak banan rad ojczysty gryzłby,
więźniówby w obcej zamykano stronie...
(Już prokurator chciał kupować wyspy
na te kolonje!)

O, Polsko! wielki i szczęśliwy kraju!
Kiedyż zawołać nikt ci nie zabroni,
że co Polacy — nie Czesi, bo mają
z morzem — kolonje!

II

Wiadomo — mocni jesteśmy i młodzi,
poco nam negrów! Robotnicze dłonie
to samo zrobią w Sosnowcu czy Łodzi
polskiej kolonji.

Innym gujany, indje, abisynje...
Nam Liga Morska te czary odsłoni
taniej, na miejscu, z pięknym tekstem, w kinie
polskie kolonje.

A że się jeden bodaj kokos zdałby,
i bez kokosów śmiech dzieci, brzęk broni —
w kolonjach letnich krzyk, branie się za łby
w polskiej kolonji.

Ot, dzieciak banan rad ojczysty gryzłby,
zamiast na łóżku miotać się w agonji,
kwitną kolonje prątków w mrokach izby,
polskie kolonje.

O, Polsko wielki i szczęśliwy kraju!
Przed wywrotowcem, ach, któż cię obroni?
Na Mokotowie, w Brygidkach śpiewają
polskie kolonje!

TADEUSZ HOLLENDER

BALLADA LWOWSKA

Żem zatracony mason i zbir,
I tak przepadło — wie calutka Polska,
Tu nie pomoże łaska apostolska,
Już na zawsze zgubiłem swój mirt.

Ale są miejsca jeszcze w Lechistanie,
Gdzie wieść nie dotrze tak łatwo do głów —
A właśnie głowy w przedpiastowskim stanie
Z pietyzmem chowa mój kochany Lwów.

Chodzę tu czysty jak święty Franciszek,
Jak on przemawiam do najgrubszych ryb.
Tu łkam na strunach z moich własnych kiszek,
Gdy niepoznany zaglądam do szyb.

A pindy, które się we mnie bujały,
Te nie czytają lewicowych pism.
Dla nich dziś jestem ten lilijnie biały,
Dziś jeszcze działam na ich szósty zmysł.

Dla nich mam zawsze oczy błękitnawe,
Ten słodki Stasio J. Letz (przez t—zet) —
Chociaż poczucie mej winy i sławy
Ziemię podemną podgryza jak kret.

Tu mówią do mnie per panie magistrze —
Tutaj, ach tutaj utracony raj,
Tu mi ciążyła buława w tornistrze —
Wolałem pióro i poszedłem w kraj.

Smutno wspomnieniom stąpać po odciskach,
Gdy na człowieku ciąży śpiewny grzech —
Trudno z głów waszych wykrzesywać iskry,
Gdy na nich porósł ćwierćwiekowy mech.

STANISŁAW JERZY LEC

O LWOWSKICH POETACH

Poeci lwowscy jak piwo,
we Lwowie trzymają się kiepsko,
kwaśnieją szybko — a dziwo,
są doskonali na eksport.

St. J. Lec



rys. F. Kleinmann

Kanibal ante portas

MIN. BECK SPĘDZA URLOP NAD BAŁTYKIEM

Narazie bezpieczny polski morza brzeg,
Bo wybrzeża strzeże sam minister Beck.

Jak wiadomo Michał
Pyrz śpi snem wiecznym.
— Panie Pyrzu! Panie Pyrz!!
Lud cię kocha — a ty śpisz?

PEWNEMU OBRAŻONEMU

Nie wystarczy proszę pana poczucie honoru,
Trzeba mieć także poczucie humoru!

NA ODKRYTCE DO GREISERA

Jest to cnota nad cnotami:
Trzymać język za zębami.

NIEWIELKA RÓŻNICA.

Dawniej w Austrii był Dolfuss,
Wkrótce będzie A-Dolfus.

NA KIEPURĘ

Że nie kiep Kiepura, nie mówię na wiatr ja —
Powiada mistrz: Ibi bene, ubi „Patria".

FELIX ZANDLER

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Sygnałów"

Ostatni zbiór moich wierszy, o którym pisał Stefan Napierski w numerze 19-ym „Sygnałów", nie zawiera wierszy zebranych, ani wybranych z poprzednich książek — tylko te, które były drukowane po czasopismach i nie weszły wcale do poprzednich zbiorków.

Włodzimierz Słobodnik

Redakcja udziela odpowiedzi tylko w dziale „Korespondencja", niezamówionych rękopisów zasadniczo nie zwraca. Prace, umieszczone w „Sygnałach", nie są honorowane.

Józ. Od Lublin. Dziękujemy za życzenia. Wiersze narazie zachowujemy. Prosimy o większy wybór.

H. Warszawa. Dyskusja bezcelowa.

K. Grz. Lida. „Oblicze dnia" zostało skonfiskowane. Niewiadomo czy będzie wychodzić.

A. P. Radom. Nie ukazał się ani program ani też jednodniówka Zjazdu Pr. K. Najobszerniejsze sprawozdanie zamieściła „Trybuna Robotnicza", Lwów, Fredry 4.

Sz. Sz. Równe. Ukraińskich pism tego rodzaju nie znamy.

W. Sz. Kurów. Macie słuszność. Jest taka jednak sytuacja, że niema „kogo" reklamować.

M. L. Czortków. Adresu „Horyzontów" nie znamy.

K. E. Ozorków. Innych pism, broszur i książek nie wydajemy.

I. K. Kraków. „Dni Krakowa" nie do druku. Za miłe słowa dziękujemy.

J. W. Choiny Stare. Jeden z wierszy drukowaliśmy w numerze poprzednim. Prosimy o większy wybór utworów innych członków grupy „Wołyń". Za życzenia dziekujemy.

Auspicje. Pismu Waszemu życzymy powodzenia. Dziękujemy.

R. L. Łódź. Dziękujemy. Artykuł drukujemy. Prozę zachowaliśmy.

L. L. Łódź. Artykułu nie będziemy drukować. Prosimy o inny.

St. P. Wielowieś. Fragmentu dramatu nie będziemy drukować. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

Z. P. Lublin. Wiersze nie będą drukowane. Prosimy o większy wybór

A. W. Paryż. Serdecznie dziękujemy. Wł. Jampolski, Lwów, Batorego 24.

NA FUNDUSZ PRASOWY „Sygnałów" złożyli: J. G. 10 zł., St. Ł. 5 zł., Czytelnik S. S. 5 zł.

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK

Redakcja i administracja: LWÓW, UL. JAKÓBA STRZEMIĘ 8

codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 18—19

PRENUMERATA:

roczna 5 zł., półroczna 2·60 zł., kwartalna 1·40 zł.

W płacać przekazemi rozrachunkowemi LWÓW Nr. 1

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „SŁOWA POLSKIEGO", Lwów, Zimorowicza 15.